WTOREK

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

NR 106 12 WRZEŚNIA 1978 R CENA 1.50 ZŁ

Rozpoczęła się dziesięciolatka. To przeżycie dla pierwszoklasistów, nauczycieli i rodziców. Czekają ich niełatwe obowiązki. Na str. 3 prezentujemy fotoreportaż i tekst opowiadające o pierwszym dniu w szkole

Wiele atrakcji kilkadziesiąt imprez

A TO WSZYSTKO W WOJEWÓDZTWIE BIELSKIM Z OKAZJI 30-LECIA „ŚWIATA MŁODYCH"

Wszystkich sympatyków naszej gazety zawiadamiamy, iż od 14 do 17 września czyli od czwartku do niedzieli na terenie województwa bielskiego, w samej stolicy województwa oraz Andrychowie, Wadowicach, Wiśle odbędzie się wiele ciekawych imprez organizowanych przez redakcję wspólnie z harcerzami. Będą atrakcje dla wszystkich: naszych Czytelników, ich kolegów, rodzeństwa, rodziców. Każdy na pewno znajdzie coś dla siebie: będzie wystawa „Przygody ze »Światem Młodych«, dyskusja o rozwoju województwa i przemyśle motoryzacyjnym, wielki festyn, zawody sportowe, przegląd zespołów folklorystycznych, samochodowy rajd rodzinny, zlot najlepszych zastępów NAL i wielkie ognisko plus występy harcerskich zespołów artystycznych i wiele, wiele innych.

Od dziś na łamach „ŚM" przedstawiamy gospodarza naszego święta – województwo bielskie. W tym numerze możecie przeczytać o osiągnięciach Bielskiej Chorągwi ZHP. W następnych numerach przedstawimy najciekawsze sprawy dziejące się w województwie bielskim.

Zapraszamy wszystkich na święto! Dokładny program imprez wydrukujemy w następnym numerze.

RECEPTA NA PIĄTKI

KĘTY (HSI). Przy miejscowym Liceum Ogólnokształcącym działa „klub skutecznego uczenia się". Ma on na celu niesienie pomocy uczniom słabym, mającym kłopoty z nauką. Ci najlepsi objęli funkcje nauczycieli – każdy ma swego podopiecznego, którym zajmuje się przez cały rok. Oprócz pomocy słabszym klub szuka recepty na skuteczne i efektywne uczenie się. Pomaga również w wyborze tematów prac maturalnych. A ponieważ powstał z inicjatywy harcerzy i oni wiodą w nim prym, większość tych prac dotyczy tematyki harcerskiej: np. historia harcerstwa na terenie Hufca Kęty, jego największe osiągnięcia itp.

(ach)

PIĘKNO MOJEJ ZIEMI

WADOWICE (HSI). W pięknym parku otaczającym Dom Harcerza w Wadowicach odbył się Chorągwiany Zlot Zuchów. Trzystu z nich dostało wyróżnienie „Zuch na 5". Każdy uczestnik zlotu brał udział w jakimś konkursie, a było ich dużo: konkurs piosenki, rysunku na asfalcie, recytatorski, plastyczny i gawędziarski. W tym ostatnim zlotowicze mieli za zadanie przedstawić piękno ziemi beskidzkiej. Dla uczestników zlotu zakład „Skawina" dostarczył mnóstwo cukierków.

(ap)

Bajka w kolorach

BIELSKO-BIAŁA (HSI). Przez miesiąc trwał konkurs na ilustracje do bajek Janusza Korczaka. Wzięły w nim udział zuchy z całej Chorągwi Bielskiej. Najlepsze prace zaprezentowano w maju na II Zlocie Zuchów w Wadowicach. Przyznano nagrody w pionach klas I, II, III i IV. Pierwsze nagrody zdobyli: Iwona Kuczka z Ustronia, Bronisław Moskal ze Stryszowa, Beata Cieślar z Ustronia i Bogda Szafrańska z Oświęcimia. **(ap)**

DZIECI DZIECIOM

JELEŚNIA (HSI). IV Drużyna Zuchowa „Uśmiech złotego słońca" ze Zbiorczej Szkoły Gminnej w Jeleśni już trzykrotnie zdobyła miano mistrzowskiej drużyny. Zuchy zbierały makulaturę i butelki, a za otrzymane w ten sposób pieniądze kupiły dwa mundurki – jeden dla zucha ze swojej drużyny, a drugi dla zucha z domu dziecka.

(ap)

HODOWLA GRZYBÓW NA ŚCIEKACH

TARNÓW (PAP). W Zakładach Celulozowych w Niedomicach i w Instytucie Biochemii Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie zakończone zostały próby laboratoryjne nad hodowlą grzybów paszowych. Grzyby te zostały wyhodowane na ściekach powstających przy produkcji celulozy. W wyniku długotrwałych prób i doświadczeń wyodrębniono dwa gatunki grzybów. Jeden nazwany przez badaczy „chetamem" uzyskuje wagę do 2,5 kg masy z metra sześciennego ścieków. Grzyby te zawierają około 50 procent czystego białka, posiadają więc bardzo dużą wartość odżywczą. Pomyślnie ukończone próby stwarzają możliwość zaprojektowania instalacji do hodowli grzybów na szeroką skalę.

(dz)

Dziś przedstawiamy

„Rudna"

Tak nazywa się trzecia z kolei kopalnia działająca w legnicko-głogowskim okręgu miedziowym. Dwie poprzednie „Polkowice" i „Lubin", uruchomiono w 1968 r. „Rudna" jest największą z nich i choć jej pełna realizacja nie została jeszcze ukończona – jest w ogóle największą i najgłębszą kopalnią podziemną w Polsce. Większe od niej są tylko kopalnie odkrywkowe.

Jest to również jeden z najnowocześniejszych zakładów górniczych w świecie. Urobek wydobywa się tam z głębokości... kilometra, przy pomocy tzw. „skipów" czyli całkowicie zautomatyzowanych urządzeń wyciągowych. Ładowność takiego urządzenia – 30 ton. W pełni automatyczne jest również ich ładowanie.

Już wkrótce, kiedy kopalnia osiągnie swą pełną wydajność (obecnie – 7,5 mln ton rudy rocznie, docelowo 12 mln. ton) będzie dostarczała blisko połowę całego polskiego wydobycia tego surowca. Tak ogromne zadania wymagają więc najnowocześniejszego sprzętu szczególnie do prac wydobywczych pod ziemią. A że pokłady rudy w tej kopalni mają zmienną grubość – jej twórcy zmuszeni byli do zaprojektowania wielu systemów pozyskiwania surowca, które są stosowane równocześnie w zależności od miejscowych potrzeb. W komorach wydobywczych i podziemnych chodnikach „Rudnej" pracują samojezdne maszyny do równoczesnego wiercenia 9 otworów strzałowych i samojezdne wozy ładująco-dostawcze, a w najbliższym czasie uruchomione zostaną automatyczne pociągi, sterowane z centralnej dyspozytorni. Będą one przewoziły ładunki o łącznym ciężarze dorównującym ładowności normalnych naziemnych pociągów towarowych PKP!

Oczywiście nowoczesność, w tak skomplikowanym organizmie jakim jest ten podziemny gigant, nie może dotyczyć tylko sprzętu wydobywczego, choć on tu jest najważniejszy. Równie wysokiej klasy muszą być wszystkie inne urządzenia: cały system wentylacyjno-chłodzący (180 tys. m³ powietrza na minutę) i odwadniający, podziemna łączność, specjalne komory regeneracyjne, komunikacja itp.

Za całość prac przy projektowaniu, a potem twórcze rozwinięcie projektu Zakładów Górniczych „Rudna" – Nagrodę Państwową I stopnia otrzymał zespół w składzie: prof. dr Roman Bromowicz (pośmiertnie), mgr inż. Władysław Lubach, doc. dr Kazimierz Franasik, dr inż. Zbigniew Belof, mgr Mieczysław Borecki, mgr inż. Mieczysław Wróbel, inż. Ryszard Boryczka i mgr inż. Wiesław Teleszyński.

(jd)

Tyle już o tej rzece napisano, że z licznych i opasłych dzieł sławiących jej wszelkie zalety, wyliczających gospodarcze pożytki, opiewających piękno – można by skompletować obszerną bibliotekę. Malarze szukali nad jej urokliwymi brzegami natchnienia, kompozytorzy poświęcali jej swoje najlepsze utwory, poeci – wiersze i poematy, a zwyczajni ludzie układają o niej nadal lepsze lub gorsze, ale własne rymowanki.

Obrosła ta rzeka w legendy, baśnie i podania jak żadna inna z naszych rzek i nic w tym dziwnego – żyjemy nad jej brzegami i w jej dorzeczu lekko licząc, od dwóch tysięcy lat, i przez cały ten czas nasz los zależał od jej złego lub dobrego humoru.

ŻYWA RZEKA, ŚCIEK CZY LEGENDA ?

Zawsze była dla nas najważniejsza, więc, jak pisze w XV w. uczony kronikarz króla Kazimierza Jagiellończyka – Jan Długosz:

„Słusznie nad innymi przyznano jej pierwszeństwo. Skrapia bowiem większą część Królestwa Polskiego i dłuższą niż inne rzeki przebiega ziemi przestrzeń. (...) Przy ujściu dzieli się na trzy odnogi. Z tych pierwsza pod Gdańskiem, druga przy wsi Theff, zwana Haf (Hab), czyli Wielkim Jeziorem, a trzecia pod Elblągiem, zwana Nogatem. Tymi trzema bramami walna struga, zalecająca się białą wodą i zdrowym napojem, wchodzi do Sarmackiego Oceanu. Z ryb wydaje łososie i jesiotry, które rzadko i w znakomitych tylko trafiają się rzekach".

W czasie następnych stuleci, wożąc wszelakie towary od Tatr do Gdańska, różne przechodziła koleje losu. Zmieniała często swój bieg, kaprysiła leniwie między piaszczystymi łachami, aby kawałek dalej na zakolach rwać bez litości chude chłopskie zagony, a ilu zadufanych w sobie pływaków pozostało na zawsze w jej zdradliwych nurtach – tego nikt nie zliczy...

Zapieniona i rycząca

Najstraszliwsza stawała się w czasie przyboru wód. Jak gdyby biorąc odwet za pokorną pracę wykonywaną darmo przez cały sezon żeglugowy, zwykle wiosną lub wczesnym latem wpadała w niczym niepohamowaną złość i pokazywała swoje drugie oblicze.

– *„Wśród pierwosnu usłyszeliśmy krzyk w alkierzu garderobianej mojej żony i plusk po wodzie. Woda z Wisły przebrała wzgórek, przez szpary w ścianach zaczęła zabierać alkierz. Porwaliśmy się ze snu, a skoro świecę przyniesiono, już trzeba było z rzeczami i pościelą uciekać na stoły, a samym po kładce zamoczonej przebierać się do łamusa. Przy rozjaśnieniu się dnia jakiż widok istnego potopu otworzył się przed naszymi oczami. Zapieniona i rycząca Wisła niosła domy, młyny, podchwycone wraz z ludźmi, którzy próżno wyciągali ręce o ratunek, niosła drzewa z korzeniami wyrwane, stogi i kopy siana i zboża, a na nich zwierzęta. (...) Gdy woda opadła, ogarnęły całą rozległą atmosferę tak nieznośne, niezdrowe i cuchnące wyziewy zgnilizny zbóż po gumnach, trupów ludzi, koni, bydła po polach, że trzeba było jak z zapowietrzonego miejsca uciekać!."*

(Kajetan Koźmian, fragment pamiętnika dotyczący powodzi w Wielowsi nad Wisłą, w roku 1813).

Takich i podobnych opisów w starej i nowszej literaturze oraz w dawnych gazetach można znaleźć ogromną ilość.

A więc była Wisła od niepamiętnych czasów równocześnie pracowita i nieobliczalna, karmiąca szczodrze rybą i pochłaniająca tysiące ofiar, urzekająca pięknem – i straszna w gniewie...

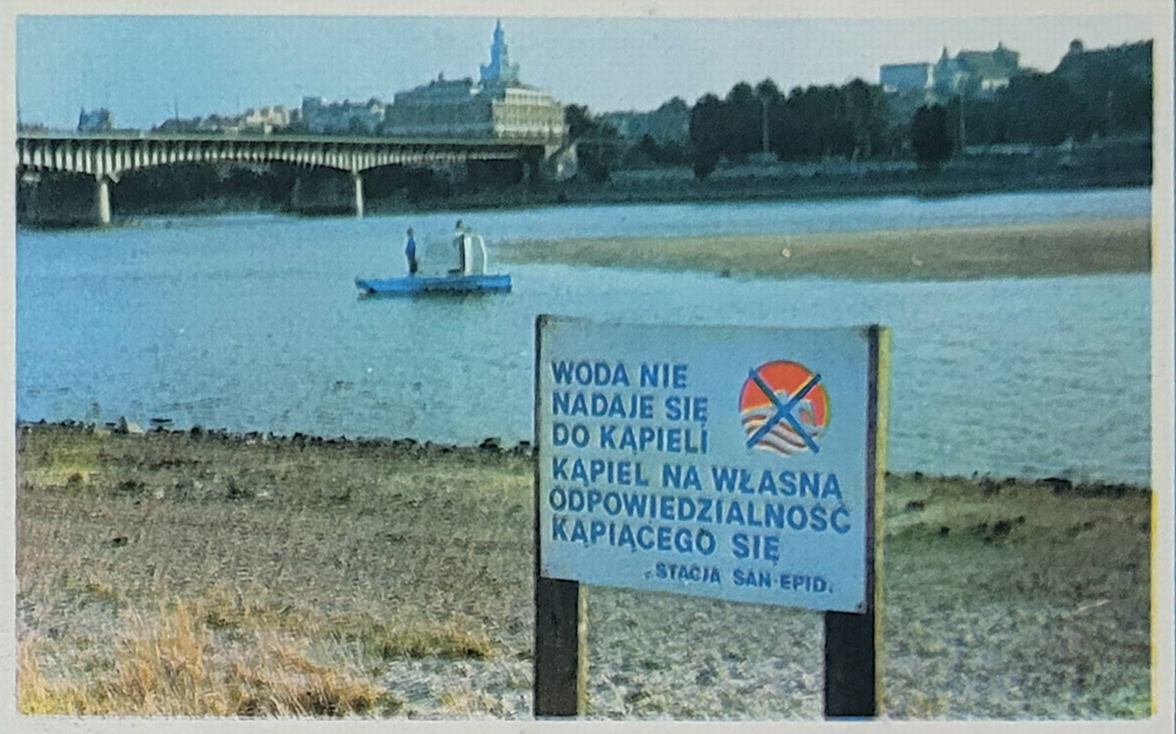

– „Wiele już było planów uporządkowania stosunków wodnych w naszej części Europy i w naszym kraju. Wszystkie one były najlepsze w swoim czasie, wszystkie jednak miały jedną wspólną wadę: nie zostały wykonane. Po ukończeniu każdego planu zaczynała się dyskusja i krytyka, która trwała tak długo aż plan stawał się nieaktualny, najczęściej jako przestarzały. Po czym rozpoczynano opracowywanie nowego planu..."

(Prof. dr Zbigniew Dziewoński)

A jaka jest dziś?

Przede wszystkim: nieprawdopodobnie zanieczyszczona; tak brudnych i skażonych wód nie niosła jeszcze nigdy. Ale też i nigdy dotąd nie obarczano jej takimi obowiązkami, jak się zresztą okazało – ponad jej siły. Istnieją bardzo dokładne wyliczenia ilości trujących substancji wlewanych beztrosko do naszej – kiedyś – najpiękniejszej rzeki. Jest ich tyle i taka przerażająca rozmaitość, że nie będę nawet próbował ich wyliczać. Wystarczy powiedzieć, że rzeka, na całej swej długości, nie dysponuje już nigdzie wodą I klasy czystości, a blisko połowa jej nurtu niesie wody tak zatrute, że niemożliwe do sklasyfikowania, znajdujące się poza wielkimi normami.*

Najgorzej ma się Wisła w swym górnym biegu na długości około 230 km. Jest tam, mówiąc bez ogródek, szerokim na kilkadziesiąt metrów martwym biologicznie cuchnącym ściekiem. Tam też w ciągu najbliższych lat trzeba będzie zbudować najwięcej oczyszczalni, co oczywiście łatwo się tylko mówi, ale będzie to praca ogromna. Chcąc oczyścić Wisłę naprawdę, musimy zbudować oczyszczalnie przy wszystkich źródłach zanieczyszczeń przemysłowych (fabryki) i komunalnych (skupiska ludzkie). A jest to tylko część tego, co trzeba dla niej zrobić.

W jakiej skali prace nas czekają niech uzmysłowi jeden tylko przykład...

Kłopot za 11 miliardów

W kopalniach zawsze prawie występuje woda, która jest systematycznie pompowana na powierzchnię, a potem odprowadzana do najbliższej rzeki. Nasze wody kopalniane są czyste tylko „na oko", gdyż są słone. Wlewane do małych rzeczek, wpływających potem do górnego biegu Wisły, zmieniają tak jej skład, że taka woda nie nadaje się już np. do chłodzenia stali, gdyż powoduje jej szybkie rdzewienie. I potem w czasie kucia drobinki rdzy wbijają się w powierzchnię odkuwek niszcząc ją.

Wisłą pod Krakowem przepływa już w ciągu doby blisko 20 ton soli. A to jest dwa razy więcej niż wynosi norma dla ścieków! Za ten stan rzeczy odpowiadają nie tylko kopalnie – choć one najwięcej – ale i dziesiątki innych zakładów. Co w tej sytuacji począć?

„Normę trzeba było zmienić, gdyż inaczej musielibyśmy zamknąć sporo zakładów przemysłowych, które odprowadzają więcej soli niż mówiła o tym poprzednia norma" – powiedział w rozmowie z dziennikarzem „Dziennika Polskiego" dr inż. Krzysztof Słysz z krakowskiego oddziału Instytutu Kształtowania Środowiska.

Sól więc nadal płynie, tyle że w majestacie prawa i jeśli coś w tej sprawie nie zostanie zrobione, to zalegną się nam w Wiśle śledzie, a wodę do Nowej Huty będziemy sprowadzać wielokilometrowymi rurociągami z gór (jest taki projekt).

Jak dotąd to chyba jedna tylko kopalnia „Dębieńsko" na swojej wodzie zrobiła interes. Zainstalowała sobie dwa lata temu fabrykę... soli odzyskiwanej z własnych wód kopalnianych! Dostarcza ją na rynek, a do rzeki odprowadza krystalowo czystą wodę.

Istnieje wiele projektów odsolenia Wisły, sprawa ta została włączona do rządowego programu PR-7 i pod uwagę brane są nawet projekty sprawiające wrażenie fantastycznych np. budowa – przez całą Polskę – rurociągu odprowadzającego wszystkie słone wody wprost do Bałtyku! Jego koszt wyniósłby 11 miliardów złotych, a roczna eksploatacja – 7 milionów...

* * *

Podjęte niedawno plany zagospodarowania Wisły mają dla nas pierwszorzędne znaczenie. Ich ostateczna realizacja doprowadzi jeszcze przed rokiem 2000 do sytuacji, w której wszystkie sztuczne zbiorniki na tej rzece (a będzie ich około 30) będą gromadzić wodę tylko w dwóch klasach czystości: pierwszej – 40 proc., i drugiej – 60 proc. A więc odpowiedź na pytanie postawione w tytule może być tylko jedna: WISŁA MUSI STAĆ SIĘ CZYSTĄ RZEKĄ!

Co do tego nikt z nas nie powinien mieć żadnych wątpliwości...

JERZY DĄBROWSKI
Fot. **autora**

* W Polsce obowiązują trzy klasy czystości wód powierzchownych. I KLASA: służy do zaopatrywania ludności i przemysłu spożywczego w wodę pitną. Można w niej hodować ryby z wyjątkiem łososiowatych.
II KLASA: hodowla ryb jak w klasie I oraz do użytku zwierząt gospodarskich, kąpieli.
III KLASA: zaopatrywanie tylko niektórych gałęzi przemysłu, nawadnianie terenów rolniczych.

Moda na bieganie?...

Od dłuższego już czasu i przy różnych okazjach mówi się i wiele pisze o tym, że nasze społeczeństwo mało biega, że należy je rozruszać. Toteż różne organizacje i instytucje kultury fizycznej (i nie tylko) prześcigają się w inicjatywach i akcjach biegowych. Namnożyło się więc ich wiele, ale cóż z tego, skoro organizowane są sporadycznie, z okazji własnych czy lokalnych świąt i rocznicowych obchodów. Skutek jest tego taki, że w społeczeństwie mody na bieganie – jak nie było, tak nie ma.

Są tacy, którzy twierdzą, że to obawa przed śmiesznością. I mają sporo racji, bo czyż nie wzbudza sensacji samotny old-boy biegający po parku? Drudzy natomiast uważają, że przyczyna tkwi w szkole i szkolnych klubach sportowych, które – ich zdaniem – zbyt mało uwagi poświęcają rozbieganiu młodzieży. W tym miejscu warto przypomnieć, że zarówno szkoła jak i SZS od trzech lat prowadzą, z coraz większym powodzeniem, akcję biegania w ramach popularnej już „Sztafety Olimpijskiej – Moskwa 1980". Dochodzimy więc do wniosku, że problem tkwi zupełnie gdzie indziej. Chodzi po prostu o to, kto ma to bieganie Polaków organizować.

Równo osiemnaście lat temu „Głos Pracy" i FS „Spójnia" zainaugurowały Narodowe Biegi Przełajowe nawiązując do ich dawnych tradycji. Jest to impreza wielka i zarazem najtańsza na świecie. Szkoda tylko, że mówi się o niej i pisze wyłącznie z okazji finałów centralnych. Robi się wtedy wokół Narodowych Biegów Przełajowych sporo szumu, zaprasza gości, organizuje tzw. imprezy towarzyszące z udziałem świetnych zespołów i ekip zagranicznych, uroczyście wręcza dyplomy i nagrody. „Galówki" też są potrzebne, ale dla rozruszania całego społeczeństwa nie najważniejsze.

Biegi przełajowe są dostępne dla wszystkich, nawet dla mistrzów Europy, świata i olimpijskich. Bywało, że startowali w nich zawodnicy posiadający już w swym dorobku najwyższe sportowe trofea. W ciągu roku odbywa się sześć biegów dla młodzieży w wieku 14–19 lat, dwa biegi otwarte dla kobiet i mężczyzn, w których mogą startować nie młodsi niż 19-latkowie oraz biegi – „old-boyów" dla sportowców powyżej czterdziestki. Biegi przeprowadzane są w trzech etapach – rozpoczynają się w maju, a kończą w październiku finałem centralnym, który w bieżącym roku odbędzie się w Toruniu.

Narodowe Biegi Przełajowe są więc imprezą, w której może wziąć udział każdy, bez względu na to, czy jest członkiem klubu sportowego, czy też nie. Bez przesady można też powiedzieć, że stwarzają one szanse dla młodzieży sprawdzenia swojego talentu. Szkoda tylko, że w finałach wojewódzkich i centralnych uczestniczy niewielu trenerów klubowych – jest to bowiem okazja wyboru talentów do sekcji sportowych. W biegach tych objawił się talent podziwianego dziś na wszystkich stadionach świata Bronisława Malinowskiego. W nich też rozpoczynali swoje sportowe kariery Zieliński, Zientarska i Mleczko.

Od trzech lat do głównych organizatorów Narodowych Biegów Przełajowych, a więc CRZZ i FSZMP, dołączyły związki i organizacje – potentaci sportowi: Zarząd Wychowania Fizycznego i Sportu Głównego Inspektoratu Szkolenia MON, AZS, RG LZS, PZLA i inne. Ich działanie wspierają tzw. środki masowego przekazu z TVP na czele. Znaleźli się więc w tym gronie wszyscy ci, którzy kształtują oblicze naszego sportu i kultury fizycznej społeczeństwa. Wierzyć należy tylko w to, że GKKFiS doprowadzi do połączenia wysiłków wszystkich organizacji i instytucji, by impreza ta stała się rzeczywiście jedną wielką imprezą dla wszystkich, w której każdego roku będzie brało udział nie milion, a dziesięć milionów dziewcząt, chłopców, kobiet i mężczyzn.

A taka liczba startujących jest możliwa tylko w Narodowych Biegach Przełajowych. Ale żeby tak było, jest w tym również zadanie dla szkolnictwa, Związku Harcerstwa Polskiego i Szkolnego Związku Sportowego.

Wspólnie zawsze lepiej, łatwiej i skuteczniej.

RYSZARD RATAJCZYK

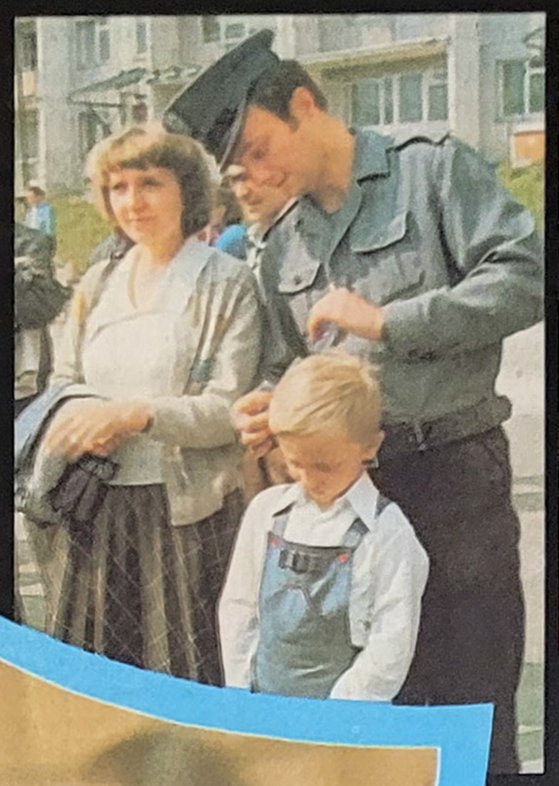

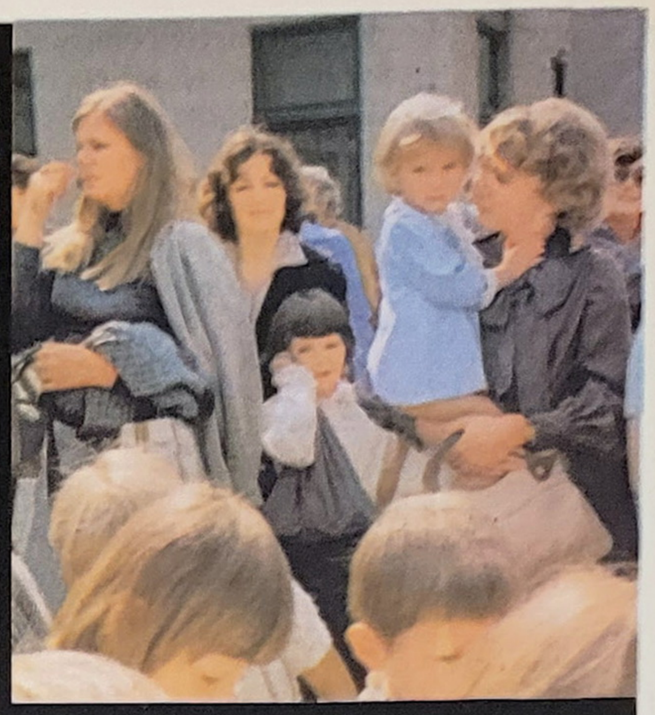

Dziesięciolatka

MYŚLISZ, ŻE CI ŁATWO PÓJDZIE?

Fotoreportaż
Jacka Łopuszyńskiego

Nowe programy, nowe podręczniki, więcej godzin lekcyjnych, ale za to nauka ma być samą przyjemnością. Powodzenia!

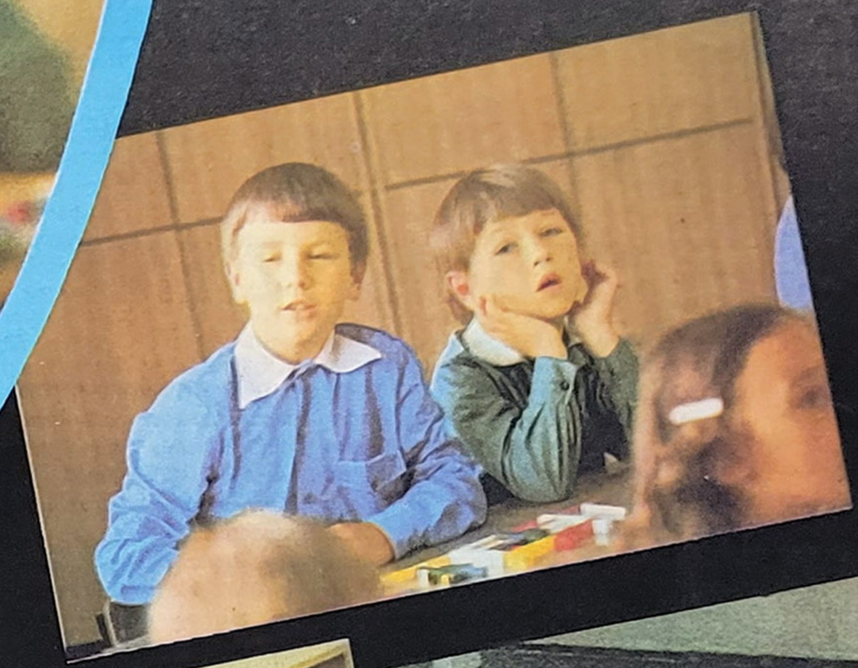

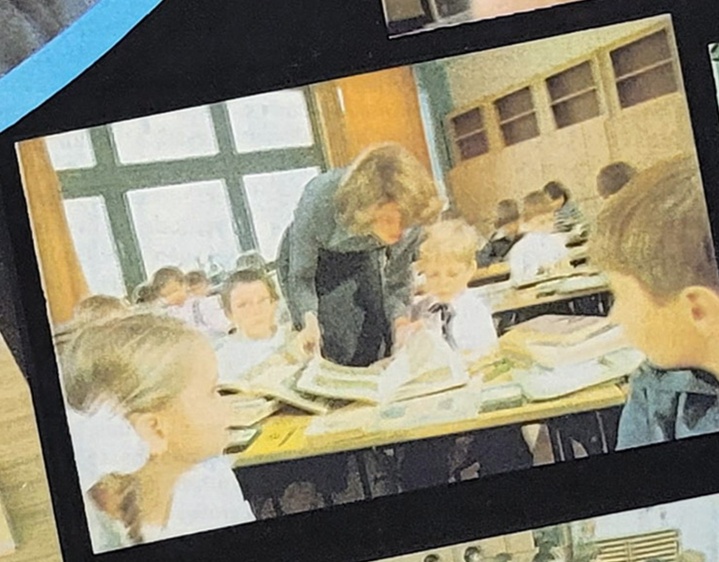

Zbiórka przed szkołą wyznaczona była na godzinę 10[00]. Ale już godzinę wcześniej zebrały się tłumy rodziców. Wśród nich z trudem zauważyć można było malców, tych, dla których dzisiejszy dzień jest najważniejszy. Pierwszy raz w szkole. Rodzice sprawdzali na wywieszonych listach, do której klasy przydzielone jest ich dziecko.

– Mój jest w ,,b'', szkoda, że nie będzie chodzić razem z twoim.

– Dlaczego Jareczka nie ma?! Pod koniec maja go zapisywałam, wypełniałam kartę ucznia – dzisiaj okazuje się, że go nie ma. Co za porządki!

Jacyś rodzice uspokajają swoje dziecko, które koniecznie chce iść do przedszkola. Dwóch chłopaków porównuje swoje worki, który ładniejszy – nie mogą zdecydować. Dziewczynka z warkoczami pokazuje wszystkim swój piórnik. Wreszcie wychodzi pierwsza wychowawczyni.

– Proszę państwa! Jestem wychowawczynią pierwszej ,,a''. Które dzieci są w mojej klasie?

Tłum rusza, napiera na biedną ,,panią''. Mija kilkadziesiąt minut. Dzieciaki i rodzice szukają swoich wychowawców.

– Anka, w której jesteś klasie?

– W ,,b''.

– Ja też! A która nasza pani?

– Ta w spodniach.

Pierwsza ,,a'' jest już prawie w komplecie. Każde dziecko ma przypiętą niebieską wstążeczkę.

– Jak byście się zgubiły, mam taką samą kokardkę. Łatwo mnie poznacie. Proszę państwa, inne panie zaraz zejdą.

Energiczny tatuś, trzymając mocno za rękę syna, przepycha się do wychowawczyni.

– Przepraszam, jaka to literka?

Pani wychowawczyni promiennie się uśmiecha. Dzieci stoją zbite w grupkę. Dookoła szczelny mur rodziców.

– Nie stójcie tak! Rozmawiajcie trochę. Zawierajcie znajomości – to jakaś mama podpowiada maluchom, co mają robić.

Wreszcie wszystkie klasy już zostały zebrane. Wchodzą do auli. Gwar. Rodzice wprawdzie mieli poczekać na zewnątrz, ale nie było mocnego, który by ich powstrzymał. Niektóre mamy nie mogą opuścić swoich dzieci.

– Bądź spokojna Anetko, ja cię znajdę!

Pierwszaki stoją w parach, rodzice w grupkach.

– Przyszłam zobaczyć swoje dzieci. Z bólem serca na to patrzę, skończyły się im dobre czasy.

– Widzi pani ile jest tych pierwszych! Gdzie oni się pomieszczą?

Jakaś mama wyjmuje kanapkę, pochylona przechodzi między rzędami dzieci i wręcza posiłek synowi.

Dzwonek. Nikt nie reaguje. Jeszcze nie przyzwyczajeni. Pani dyrektor serdecznie wita uczniów i rodziców, opowiada o dziesięciolatce, życzy sukcesów w nauce. Teraz każda klasa idzie do swojej sali. Rodziców udaje się zatrzymać na schodach.

Sala przygotowana na przyjęcie pierwszaków. Na każdym stoliku kolorowe klocki.

– Co, matematyki będziemy się uczyć?

– Ty, umiesz liczyć? Cztery odjąć cztery to ile?

– Dwa.

– Zero.

Pani wychowawczyni rozdaje nowe książki. Wszyscy oglądają. Głośno padają różne uwagi.

– O, Bolek i Lolek.

– Będziesz czytał, koleś, myślisz, że to ci tak łatwo pójdzie? – chłopak jest wyraźnie zadumany. Nogami depce leżące pod stolikiem goździki dla pani.

Dzwonek. Natychmiast otwierają się drzwi. Wchodzą rodzice.

– Jak było, Kasiu?

– Normalnie. Jutro mamy przyjść na 11.00. A rodzice mają zebranie dziś wieczór.

KAZIMIERZ PASEK

REPORTERSKI ZWIAD W BIELSKIEJ CHORĄGWI ZHP

Województwo bielskie. Już za kilka dni zjawią się tu tłumy na święcie „Świata Młodych". Na razie panuje pozorny spokój, choć przygotowania trwają już od dawna. Tym bardziej, że święto obchodzimy w roku naszego XXX-lecia. Gościć nas będą: Bielsko-Biała, Wadowice, Andrychów, Oświęcim i Wisła. W tych właśnie miejscowościach odbędą się najważniejsze imprezy, spotkania, dyskusje i występy. Poniżej przedstawiamy harcerzy – gospodarzy naszego święta, ich codzienną pracę, największe osiągnięcia. Jednocześnie zapraszamy wszystkich do województwa bielskiego na wspólną zabawę.

WYPRAWA DO ŚRODKA ZIEMI

Harcerski Klub Turystyczny „Miłośników Ziemi Wadowickiej" działa przy Domu Harcerza w Wadowicach już od dwóch lat. Należą do niego uczniowie szkół średnich i podstawowych. Opiekunem i jednocześnie sercem całego klubu jest druh Wojtek, o którym wszyscy mówią, że jest niewyczerpanym źródłem pomysłów. Wojtek skończył specjalny kurs i jest już dziś wykwalifikowanym speleologiem. To, co łączy członków klubu, to pasja poznawania Beskidów, wędrówki w góry i zbieranie elementów twórczości ludowej ziemi wadowickiej i jej okolic.

– Hej, Andrzej! – woła Anka do wysokiego blondyna. – Dobrze, że cię spotkałam. Zwołujemy dziś wielką naradę. Coś wisi w powietrzu – druh Wojtek ma niezwykle tajemniczą minę! I jak mnie nos nie myli, to niebawem wyruszymy na stare ścieżki, a muszę ci powiedzieć, że brakowało mi tego najbardziej podczas letniej kanikuły. No, biegnij jeszcze po Jacka i za piętnaście minut w klubie. Czekamy. Nie zapomnij zabrać map, tak na wszelki wypadek.

Na kilka dni przed rozpoczęciem nowego roku szkolnego gwarno było w klubie turystycznym. Nad rozłożoną mapą Beskidów wciąż toczyła się burzliwa dyskusja.

– Pierwsza wyprawa w tym roku szkolnym musi być koniecznie superatrakcyjna. Musimy zrobić dobry początek. Może wybralibyśmy się tutaj – Anka wskazuje na mapie jedną z wielu grot na terenie Beskidu Małego – dawno już tam nie byliśmy...

– Co ty, Anka, tamtą jaskinię już znamy, a poza tym jest łatwa i chodzenie po niej wcale nie jest aż tak ciekawe. Przerzućmy się na inny, nieznany jeszcze teren, bo tu znamy prawie każdy kąt.

– A jak podoba się wam Mysiorowa Jama? – rzuca propozycję druh Wojtek, opiekun klubu.

– Nie byliśmy tam. Zawsze to lepsze niż siedzenie w klubie i układanie albumu. Idziemy choćby nawet i jutro – decydują.

Wychodząc ze zbiórki Anka stwierdziła:

– Zbyszek, wiesz, coś mi tu nie gra. Wojtek był dziś taki tajemniczy, zauważ – nic nie mówił o jaskini, chociaż zawsze to robił, nie było też żadnych ćwiczeń gimnastycznych. Oj,żeby to nie był jakiś kawał, a w efekcie... zwykły marsz na orientację.

Od rana cała dziesiątka grotołazów – bo tak o nich mówią i w szkole, i w drużynie – żyła tylko tą wyprawą. Nie była to dla nich nowość. Zaliczyli już kilka jaskiń, zdobyli Górską Odznakę Turystyczną, w różnych bywali sytuacjach, a nigdy się tak nie denerwowali.

– To wszystko przez Wojtka. Mógłby przynajmniej powiedzieć jak tam jest, czy jest duża, jakie są korytarze. Wysokie czy niskie, wąskie czy też szerokie...

O umówionej godzinie wszyscy z pełnym ekwipunkiem pobiegli do klubu. Wojtek już czekał. W drodze do jaskini poczuli się jakby trochę pewniej. Nikt już nie narzekał. Wspominali dawne wyprawy, sprawdzali latarki, udzielali sobie rad, ustalali, kto kogo ma się pilnować.

Kiedy stanęli przed wejściem do jaskini, znów powróciło zdenerwowanie. Ogromna ziemna jama i... jak tam wejść? Niektórzy byli gotowi nawet zrezygnować, bo w porównaniu z poprzednimi wyprawami ta wydawała się być najtrudniejsza.

Pod ziemią okazało się, że jest nie tylko trudna, bo niska i okropnie wąska, ale przy tym był to także ogromny i skomplikowany labirynt korytarzy, komór, niskich i ciasnych przejść. Wydawał się nie do pokonania.

Wojtek czołgał się, torując drogę innym. Pierwszy labirynt przebyli szybko i bez większych kłopotów. Dopiero kiedy znaleźli się w samym centrum jamy, wszystko zaczęło się komplikować. Wąskie korytarze utrudniały przejście, nie wiadomo było, gdzie skręcić, chodzili po omacku, bo latarki wysiadły, a o wyjęciu z plecaka świeczki można było tylko pomarzyć.

Później przez dwie godziny „zwiedzali" jaskinię. Przy jednej świeczce (udało się ją wreszcie wyjąć) obserwowali florę i faunę pod ziemią, słuchali legend o tej jaskini, zbierali niewielkie próbki ziemi potrzebnej do wymodelowania jej profilu i określenia, z jakiego okresu pochodzą poszczególne warstwy.

Byli również i tacy, którzy znacznie dłużej krążyli po labiryncie. Jacek już na początku wyprawy zgubił grupę. Długo szamotał się w jednym z pierwszych przewężeń. Po prostu zaklinowało go. Nie mógł się ani wycofać, ani ruszyć do przodu. Nawet bał się trochę, bo został sam na sam z... nietoperzami i pająkami – jaskiniowcami. Wołać też nikogo nie mógł, taki jest regulamin wypraw, bo mogłoby się coś zawalić. Jacek próbował różnych sposobów. Najważniejsze to pozbyć się plecaka, ale i ten manewr się nie udawał. Przekręcić się na bok, może będzie lżej przecisnąć się... Stracił już nadzieję. Trudno, ktoś na pewno wróci po mnie – myślał. Kolejna próba oswobodzenia powiodła się, tylko że spodnie wraz z plecakiem pozostały po przeciwnej stronie korytarza. Ale wracać nie było już po co... I tak stracił sporo czasu, teraz musiał szukać drogi do wyjścia.

Z wyprawy wrócili zadowoleni, chociaż będąc jeszcze pod ziemią obiecywali sobie, że już nigdy, że to ostatni raz.

– Mimo ogromnego wysiłku wszyscy chętnie uczestniczyli w zdobywaniu jaskini – mówi Wojtek. – Takie sprawy to nie tylko przygoda, to również wspaniała lekcja geografii. Dopiero tam, na dole, mogą dokładnie obejrzeć każdą warstwę ziemi, po prostu przyjrzeć się temu wszystkiemu z bliska. A potem dźwigają ze sobą pełne wory kamieni – piaskowców, wapieni. Układają je w harcówce. A ta ich siedziba, to już dziś prawdziwe muzeum. Oprócz geologicznych trofeów są tu hafty, koronki, drewniane świątki – dzieło tutejszych ludowych artystów.

Harcerski Klub Turystyczny organizuje także dla wszystkich harcerzy Hufca Wadowice Rajdy Powsinogów, których celem jest propagowanie twórczości Emila Zegadłowicza. Oprócz tego do klubu może przyjść każdy harcerz, wypożyczyć sprzęt narciarski i uczestniczyć w zimowych zjazdach.

Ostatnia wyprawa nie była łatwa. Po raz pierwszy najmłodsi członkowie klubu byli w Mysiorowej. Ale przecież przez cały ubiegły rok zdobywali inne jaskinie – mniejsze i łatwiejsze. Trzeba więc było i tu spróbować swoich sił. Za dwa tygodnie wyruszą do jaskini, która jest o kilka stopni trudniejsza. Jest to jaskinia w Trzech Kopcach, gdzie schodzenie odbywa się głową w dół...

DANUTA ZIELIŃSKA
Fot. **Harcerska Agencja Fotograficzna Wadowice**

„SP-9 -ZCK" WYWOŁUJE

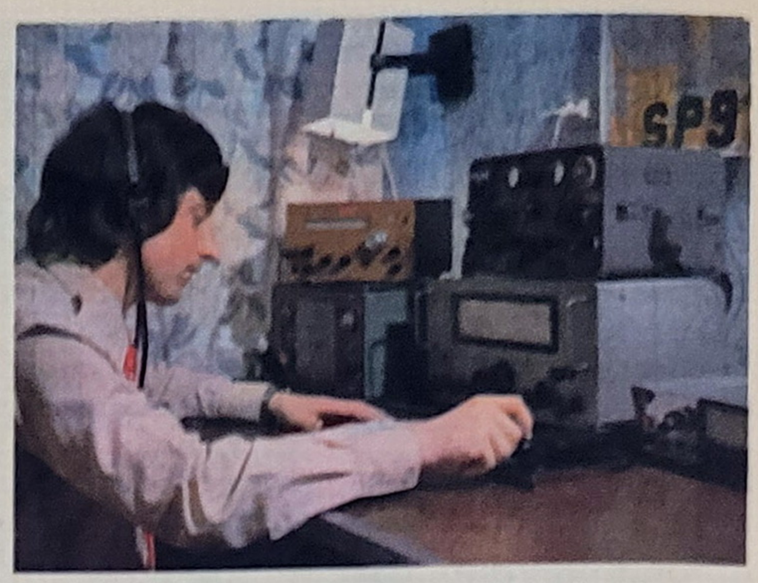

Tomek pochyla się nad nowoczesnym aparatem pełnym przycisków, pokręteł i dziwacznych guziczków.

– Wywołanie ogólne. Wywołanie ogólne na pasie 144 MHz. Wywołuje stacja SP–9–ZCK. Kto chciałby z nami nawiązać łączność?

Przez moment z aparatu dobiegają trzaski i gwizdy, ale po chwili w eterze słychać cichy głos.

– Mamy Poznań na linii – cieszy się Tomek. Krótkie powitanie, wymiana informacji kto i skąd, pozdrowienia.

Harcerski Klub Łączności przy Komendzie Hufca w Kętach powstał w 1968 roku, a jego członkowie specjalizują się w krótkofalarstwie. Wiadomo taki sprzęt jest drogi i kupić go harcerzom niełatwo.

Trzeba było zakasać rękawy i wziąć się do roboty. W ciągu kilku tygodni harcerze wspólnie z inżynierem elektronikiem, panem M. Handlikiem z Zakładu Urządzeń Hutniczych w Kętach, wykonali kilka prostych odbiorników i nadajników. Kiedy aparatura była już gotowa, dziewczęta i chłopcy przystąpili do egzaminu. Wypadł pomyślnie. Licencja w kieszeni – klub nareszcie otrzymał swój znak: SP–9–ZCK!

W jednym z pomieszczeń Hotelu Robotniczego w Kętach, w którym znajduje się harcówka, tuż obok aparatów leżą równo poukładane karty łączności QSL jako potwierdzenie uzyskanego połączenia.

– Połączeń mamy już sporo – mówi druh Henryk – Utrzymujemy stałą łączność z wieloma klubami w kraju, a także czasami udaje nam się usłyszeć kolegów z ZSRR, Czechosłowacji i NRD. Największe szczęście w łączności zagranicznej ma Tomek. Tomek w ogóle jest zapalonym krótkofalowcem i specem od tych wszystkich urządzeń. W przyszłym roku dwóch chłopców z naszego klubu zdaje na Politechnikę Wrocławską, na elektronikę, bo tak bardzo spodobały im się nasze nadajniki i praca przy ich montowaniu i konserwacji.

Krótkofalowcy z Kęt podczas tegorocznej akcji letniej obsługiwali obozy harcerskie oraz Manewry Techniczno-Obronne. **(dz)**

Fot. **Z. Bisanz**

TUTAJ JAK W DOMU

Miejski Dom Harcerza w parku jest dziś chlubną wizytówką wadowickich harcerzy. Starsi mieszkańcy opowiadają, że dawniej strach tam było chodzić, bo nie wiadomo, czym taki spacer mógł się skończyć. „Chuligani tam mieszkali".

Budynek ten został wybudowany w 1914 roku przez Towarzystwo Upiększania Miasta Wadowic i Okolic. A wszystko z myślą o młodzieży, która mogłaby tu wesoło spędzać wolny czas. Niestety, cel ten nie został przez kilkadziesiąt lat osiągnięty. Nigdy nie przebywała tam młodzież, bowiem mieszkali tam różni ludzie. A kiedy wyprowadził się ostatni gospodarz, budynek, i tak już zaniedbany, popadł w zupełną ruinę. Spotykali się w tym miejscu ci, którzy nie mieli gdzie wypić butelki wina czy też kilku flaszek piwa.

– Dłużej tak nie mogło trwać. No bo niby dlaczego właśnie my, harcerze, nie moglibyśmy się tam wprowadzić? – mówi druh Jan Sobota. – Szkoda, aby taki stylowy domek, ładnie położony, po prostu zmarnował się. Tym bardziej, że byliśmy wówczas bezdomni. Straciliśmy swoje biuro, harcówkę. I wtedy padła propozycja, że może by tak do parku, do tego domku, i tam urządzić prawdziwą harcówkę.

O tym, że takie przedsięwzięcie, mimo największego zapału, nie będzie łatwe – wiedział każdy. Tym bardziej, że wszystko należało robić na własną rękę i własnymi siłami.

– Kiedy przyszliśmy obejrzeć dokładnie tę „chałupę", widok był naprawdę koszmarny – wspominają druhowie. – Na dachu drzewa wcale pokaźnych rozmiarów, w piwnicach jak w sadzawce kumkały żaby, brak tynków, okien, kanalizacji... Wyjście było tylko jedno. Albo wyremontujemy budynek i będziemy mieli harcówkę, albo... W marcu zabraliśmy się solidnie do roboty.

Wszystkie niefachowe prace wykonali harcerze w ramach czynów społecznych. Zaczęli od uszczelniania okien i drzwi. Potem do pracy przystąpili instruktorzy z Robotniczych Kręgów. Potrzebna była kanalizacja, ocieplenie ścian, sufitów i położenie tynków wewnętrznych.

Ponad półtora roku trwał remont. I wreszcie 15 maja 1978 roku budynek, już pięknie odnowiony i bogato wyposażony, przeszedł w posiadanie wadowickich harcerzy.

– Każdego dnia w pomieszczeniach Domu Harcerza jest gwarno i wesoło. W tej chwili działa tu kilka klubów specjalnościowych i kółek zainteresowań, w których spotykają się najmłodsi mieszkańcy miasta. Największym powodzeniem cieszy się klub turystyczny, modelarski, fotograficzny i klub tenisowy. Dopiero teraz spełnił się cel, dla którego wybudowany został ten budynek.

Harcerze mają jeszcze tylko jedno marzenie. Chcieliby w miejscu, gdzie obecnie znajduje się Ogródek Jordanowski wybudować obiekt sportowy. Taki z prawdziwego zdarzenia – z boiskiem do siatkówki, do koszykówki, bieżnią i kortami. Chęci do pracy są, ale potrzebna jest... zgoda władz miasta.

Dom Harcerza jest też bazą dla zastępów Nieobozowego Lata, a zimą dla członków Harcerskiej Akcji Zimowej.

Harcerze z Hufca Wadowice zostali wyróżnieni za swoją pracę medalem „Zasłużony dla Wadowic", wybitym z okazji 650-lecia miasta. **(dz)**

Fot. **Z. Bisanz**

Bielska Chorągiew ZHP powstała w 1975 r. z połączenia hufców należących dawniej do chorągwi katowickiej i krakowskiej. Od tego czasu jej szeregi powiększyły się o ponad 16 tysięcy osób. Obecnie liczy 74 383 harcerzy. Działają oni w 793 drużynach zuchowych, 841 drużynach harcerskich i 574 drużynach HSPS. Drużyny te tworzą 228 szczepów, które z kolei składają się na 53 hufce.

W 1975 roku bielscy harcerze mieli tylko dwie własne bazy obozowe: koło Siewierza i w Pstrągarni. Wtedy postanowili: pierwszym zadaniem dla wszystkich hufców będzie posiadanie własnej bazy – na miarę potrzeb i możliwości. W wyniku trzyletniej pracy niektóre hufce (Cieszyn, Oświęcim, Strumień, Wadowice, Wisła) mają już własne bazy, inni idą w ich ślady...

Kolejną akcją całej chorągwi jest rozpoczynająca się niedługo kampania „Bohater", podczas której harcerze będą się ubiegać o nadanie Bielskiej Chorągwi ZHP imienia Pawła Findera, który urodził się w Bielsku-Białej. (ap)

„Klimczok" ma 16 lat

W przewodniku turystycznym można wyczytać: *„Klimczok (1119 m n.p.m.), jeden z najbardziej popularnych szczytów w otoczeniu Bielska-Białej, zwiedzanych w lecie i zimą. Hala między jego wierzchołkami a Magurą, to prawdziwy raj dla narciarzy. Nazwa szczytu pochodzi od zbójnika Wojciecha Klimczoka, który żył tu w XVII wieku."*

Od tamtych lat upłynęło sporo czasu, po zbójnikach ani śladu – tylko nazwa została. A od 16 lat nabrała ona nowego znaczenia. Dla wielu harcerzy **„Klimczok"**, to wakacje, które się długo pamięta. Jest „Klimczok" jedną z najstarszych akcji chorągwianych; 16 lat temu zaczynała ją Chorągiew Katowicka, od 3 lat akcję przejęła Chorągiew Bielska i dobrze ją kontynuuje. Duża w tym zasługa **hm PL Andrzeja Otrębskiego**, który nieprzerwanie „Klimczokiem" dowodzi.

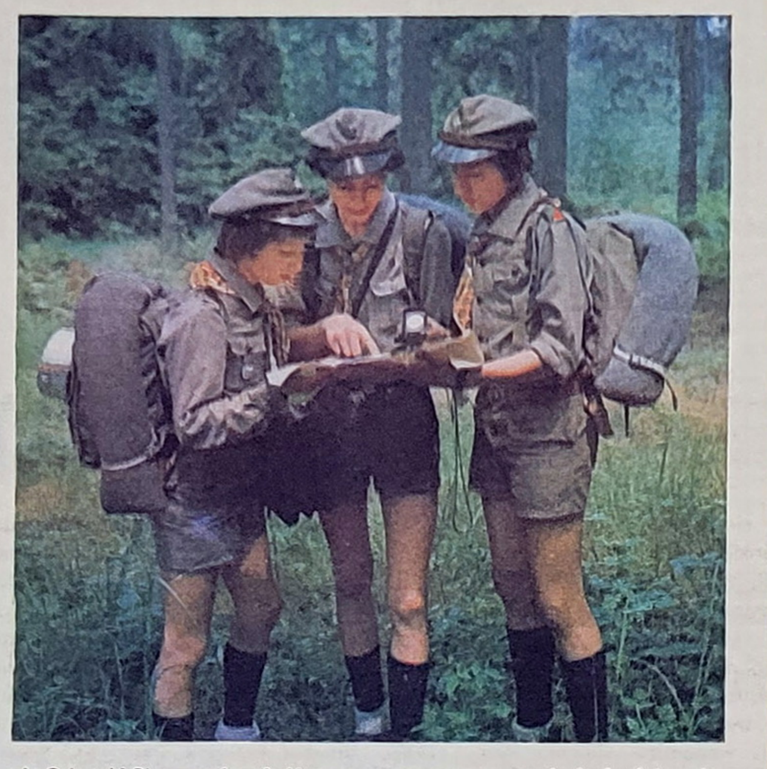

W tym roku w akcji wzięło udział 34 128 zuchów, harcerzy i instruktorów z 11 chorągwi. Bielscy harcerze przyjmują u siebie również gości zagranicznych z ZSRR, CSRS, Węgier, NRD, Finlandii i Francji.

Przez trzy ośrodki obozowe wiodła jedna z tras ogólnopolskiego rajdu **„Azymut-Huta Katowice"**, zaczynająca się w Bielsku-Białej. Na każdym z turnusów były organizowane festiwale kultury (o złotą i brązową szyszkę) i manewry techniczno-obronne.

Uczestnicy akcji, realizując zadania Odznaki Chorągwianej **„Harcerska Służba Ziemi Beskidzkiej"**, podejmowali wiele inicjatyw związanych z ochroną naturalnego środowiska człowieka. Np. obóz hufca Gorzyce oczyścił 5 km rzeki Jesionki, a pieniądze za zebrany w ten sposób złom (było tego żelastwa aż 2 wywrotki) przeznaczył na CZD. Harcerze z Wadowic, obozujący w Stryszowie, organizowali młodzieżowe patrole Straży Ochrony Przyrody. Podczas trwania akcji oczyszczono ze śmieci wiele szlaków turystycznych, odnowiono ich oznakowanie, zbudowano kładki i mostki. Sporządzono też rejestr zabytków kultury beskidzkiej.

Oprócz tego harcerze pomagali przy żniwach, organizowali zielone przedszkola i patrole strażackie. Uczestnicy Akcji „Klimczok" odwdzięczyli się pracą pięknej ziemi beskidzkiej za gościnę. **(ap)**

Fot. **M. Żbikowski**

PALI SIĘ !

KĘTY (HSI). W Szkole Podstawowej w Kętach już od roku istnieje Młodzieżowa Drużyna Pożarnicza. Opiekunem i instruktorem drużyny jest pan A. Osierda. Pod jego okiem chłopcy zdobywają wiadomości z teorii gaszenia pożarów, budowy i zastosowania sprzętu przeciwpożarowego oraz z przepisów przeciwpożarowych. Raz w tygodniu roty chłopców spotykają się na terenie Ochotniczej Straży Pożarnej w Podlasiu, gdzie odbywają ćwiczenia praktyczne. Młodzi strażacy zdobyli już pierwszy stopień wyszkolenia przeciwpożarowego. W czasie tegorocznych wakacji członkowie drużyny przebywając na obozie harcerskim brali udział w gaszeniu pożaru we wsi Krępy koło Nowego Targu. **(dz)**

Fot. **Z. Bisanz**

REPORTERSKI ZWIAD W BIELSKIEJ CHORĄGWI ZHP

MIGAWKI EGZOTYCZNE

JANUSZ WOLNIEWICZ

LĄDOWANIE NA GUAM

Na wyspie Guam (archipelag Mariany w Mikronezji) niewiele się zmieniło przez prawie pięć stuleci. Jako pierwszy z Europejczyków zawinął tu, w marcu 1521 roku, Magellan. Dostał wodę i trochę owoców. Także i dziś zlatują się na Guam odrzutowce po paliwo i zaopatrzenie. W zamian za prowiant tubylcy wzięli ze statków Magellana samowolnie tak wiele przedmiotów, że portugalski żeglarz nadał Marianom niezbyt chwalebną nazwę – Wysp Złodziejskich. Warto od razu powiedzieć, że i dzisiaj ich mieszkańcy nie grzeszą wielkodusznością. Wyspę tę nie bezzasadnie nazywa się pułapką dla turystów. Przybywających gości „skubią" tu bezlitośnie hotele, biura turystyczne i restauracje.

Guam miał niegdyś forty, garnizony wojsk hiszpańskich. Na przełomie XIX i XX wieku stał się własnością Amerykanów, którzy dysponują tu znowu potężną bazą lotniczą i morską.

W dziedzinie komunikacji lotniczej wyspa Guam też stanowi punkt dość niezwykły. Maszyny cywilne korzystają tutaj praktycznie z pasów startowych wielkiej bazy wojskowej; należą one do najdłuższych, jakie zdarzyło mi się gdziekolwiek zobaczyć. To stąd w czasie II wojny światowej wznosiły się wielkie wówczas B-29, stąd i dzisiaj startują „Herculesy" oraz naszpikowane elektroniką samoloty patrolowe dalekiego zasięgu.

W lotnictwie cywilnym hegemonem na Guamie jest PanAm. Linia ta ma monopol na połączenie z Filipinami, lotniskami kontynentu azjatyckiego i Hawajami. I tak z Manili na przykład nie można inaczej dostać się na Guam, niż po wykupieniu biletu na Jumbo-Jet w barwach PanAm. Z mniejszych linii udało mi się dostrzec na lotnisku maszynę „AirNauru", dwie czarterowe maszyny JAL-u oraz Boeninga 727, latającego w barwach Continental Air Micronesia. Warto wspomnieć, że Continental uzyskał ostatnio od administracji prezydenta Cartera prawo latania po całej Oceanii i tym samym stał się linią konkurującą w tym rejonie świata z PanAmem. Dla podróżnych pragnących odlecieć z Guamu w jakimkolwiek kierunku – do Mariany, Karoliny, Honolulu – rozkład lotów jest na tyle niedogodny, że praktycznie nie istnieje możliwość złapania połączenia tego samego dnia. Z reguły należy się więc liczyć z noclegiem w jakimś hotelu, gdzie jedna doba nie ma prawa kosztować mniej niż 25–35 dolarów. Głowy myśla!

Dworzec lotniczy nie zaimponował mi wielkością, ale podobała mi się jego architektura. Cały budynek skomponowany jest ze smukłych filarów rozpłaszczonych na górze w rodzaj ni to grzybów, ni to parasoli. Sprawna kontrola bagażu, klimatyzacja, całą dobę funkcjonująca kafeteria oraz spory magazyn z pamiątkami i licznymi stoiskami towarów po cenach wolnocłowych – sprawia, że ten niewielki port lotniczy wyspy zagubionej w oceanie wspomina się z przyjemnością. Nieco inne wrażenia przygodny podróżny wynosi ze stolicy Guamu.

Agana, główne obecnie osiedle tej wyspy, jest zwykłym, skomercjalizowanym miasteczkiem amerykańskim, pozbawionym zresztą wdzięku i... jakiejkolwiek komunikacji komunalnej. Pieszy wędrowiec jest tu równie rzadkim zjawiskiem jak latający spodek. Wszystkie zabytki Guamu zniszczyła doszczętnie II wojna światowa. Mimo to na wyspie bez przerwy goszczą turyści japońscy. Oglądają oni w wielkim skupieniu resztki pordzewiałego uzbrojenia żołnierzy cesarza, którzy dobrze tutaj dali się we znaki atakującym wyspę pod koniec wojny Amerykanom. Największe bodaj zainteresowanie przybyszów z Nipponu budzą zgromadzone w miejscowym muzeum przedmioty należące do pewnego japońskiego sierżanta, który na własną rękę prowadził wojnę z Amerykanami aż do końca... 1972! Całe 28 lat od zakończenia wojny ukrywał się w grocie leżącej niedaleko budynku magistratu! Jego rekord pobił jednak aż o cztery lata inny żołnierz japoński, odnaleziony niedawno na Mindanao (Filipiny). Tego rodzaju wyczyny nie mieszczą się jakoś w naszej europejskiej mentalności.

Z Guamu odlatywałem wczesnym rankiem. Z wysokości paru tysięcy metrów bez trudu można objąć całą wyspę. Najwyraźniej widać rzeczywiście ogromne lotnisko, skupisko domów Agany i rozlaną kolonię domków kolonii wojskowej. Na samym krańcu wyspy – biała kropka, monument wystawiony ku czci Magellana, który aż stu dni potrzebował, aby dotrzeć tu z południowego krańca Ameryki Południowej.

Maszyna wzięła kurs na Filipiny, to znaczy tam, gdzie Wielki Żeglarz zginął tragicznie także i po to, aby prawie pięć wieków później wielkie samoloty międzykontynentalne mogły w pośpiechu przemierzać **Ocean Ciągle Nie Bardzo Spokojny.**

Fot. **autora**

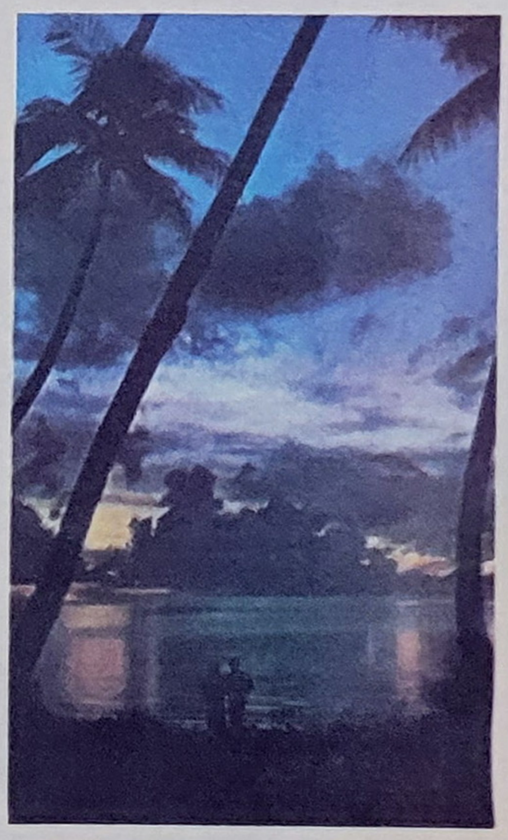

GWIAZDOZBIÓR

Piosenkarz i aktor

YVES MONTAND

Ma coś takiego w sobie, co budzi ogromną sympatię. Jest w tym naturalność, szczerość, swoboda. Jakby za każdym razem był tylko sobą, jakby śpiewał i wcielał się w postacie różnych bohaterów bez żadnego wysiłku. Jest w tym talent, poczucie humoru, doświadczenie, kunszt zawodu, ale i osobowość życzliwie nastawiona do ludzi, poszukująca z nimi więzi. Taki jest w swojej sztuce, a prywatnie ponoć jeszcze bardziej bezpośredni, jeszcze bardziej naturalny, szczery, życzliwy, na luzie. Jako artyście udało mu się osiągnąć to, co we wczesnej młodości z zazdrością podpatrywał u swojego ulubionego pieśniarza, popularnego w latach trzydziestych Charles'a Treneta.

Wyobrażałem sobie Treneta z jego swawolnym spojrzeniem, w kapeluszu nasuniętym na ucho, śpiewającego bez żadnego wysiłku, jakby mówił. Szczęśliwy Trenet! Nie wiedziałem, że to jest najważniejsza rzecz w interpretacji: pracą i doświadczeniem dojść do tego, żeby dać wrażenie, że się śpiewa bez żadnego wysiłku; aby publiczność uwierzyła, że każdy potrafi to samo, jeżeli tylko zechce. Nie wiedziałem, że ten ideał osiąga się po wielu latach poszukiwań, pracy, prób, klęsk i odkryć. Nie wiedziałem, że ten pozorny paradoks jest w równym stopniu udziałem śpiewaka, co aktora.

Zaczynał od piosenki. Nie wystarczyło jednak dobrze śpiewać, trzeba było także interpretować. Ten dar interpretacji wykazał już w pierwszych amatorskich występach przed wojną, gdy jako siedemnastoletni chłopak śpiewał na przedmieściu Marsylii w amatorskim sobotnim teatrze. Śpiewał, bo chciał zarobić pięćdziesiąt franków. Wtedy też powstało nazwisko znane dziś i w filmie, i w piosence.

Zaproponowałem pseudonim „Yves Montand". Nazwisko to przyszło mi na myśl jakoś tak samo z siebie, jakby echo głosu matki, kiedy wołała mnie przez okno na obiad: „Yvo, monta! Yvo, monta!"*.

W rzeczywistości nazywa się Livi. Jest synem marsylskiego robotnika, emigranta włoskiego, który jako socjalista schronił się we Francji przed prześladowaniami faszystowskich bojówek Mussoliniego. Proletariackie dzieciństwo i młodość, spędzone w nędzy i ciężkiej pracy, nie złamało mu skrzydeł fantazji, nie przyćmiło pogody ducha, temperamentu i żywiołowości południowca. ***...jestem pewny, że moje losy ułożyłyby się zupełnie inaczej, gdybym nie przywykł od dziecka do atmosfery pełnej pogody. Wiem, że bieda uzbrojona jest w mocne kły, że potrafi kąsać niezgorzej i że zawsze umie znaleźć czułe miejsce. Nade mną, na szczęście, udało jej się odnieść tylko wątpliwe zwycięstwo, połamała sobie w końcu zęby.***

Zastanawiając się nad tym okresem swego życia w autobiograficznej opowieści pt.: „Moje życie" stwierdza, że ten optymizm, poczucie bezpieczeństwa stwarza mu miłość rodzinna.

Posiłek wieczorny był chwilą, w której najmocniej odczuwaliśmy łączącą nas więź. Zebrani wokół stołu, byliśmy pięcioma osobami, lecz jednym istnieniem. Rodzina Livi. Stanowiliśmy nierozerwalną całość i zdawaliśmy sobie z tego sprawę, tak jak rycerze króla Artura zebrani wokół okrągłego stołu albo uczestnicy seansu spirytystycznego związani ze swoim stolikiem. Mniej lub więcej niejasno, ale z całkowitą pewnością czuliśmy przepełniający nas spokój, a powiew szczęścia muskał nasze głowy.

Ten szczęśliwy krąg miał dwa bieguny: mego ojca i moją matkę.

Kiedy w lutym 1944 roku opuszczał rodzinę jadąc do Paryża, aby się sprawdzić w stolicy, ciężko odczuwał to rozstanie. Ale się powiodło. Pod koniec wojny występował już w „Moulin Rouge" z Edith Piaf. Po wojnie jego piosenki: „Zwiędłe liście", „Grands Boulevards", „Rendez-vous de Panama", „La chanson des rues", „C'est si bon", „Un Musicien" (polski tytuł Dzień jak co dzień) obiegły świat. W roku 1957 występował w Moskwie i w Warszawie.

Jako aktor debiutował w 1954 roku w sztuce Arthura Millera „Czarownice z Salem". W filmie zagrał w 1946 r. „Wrota nocy" nie były niestety debiutem udanym i dopiero film Clouzota „Cena strachu" (1953) ukazał jego aktorskie możliwości i przyniósł mu popularność już nie tylko jako piosenkarza, ale i aktora. W filmie tym jest

kierowcą ciężarówki z niebezpiecznym ładunkiem nitrogliceryny w każdej chwili zagrażającej wybuchem. Jest to niezwykle dramatyczny film, trzymający widza w napięciu, wspaniałe studium strachu. Film męski, brutalny wykazujący, że „trzeba sprzedać życie, by na nie zarobić." Dziś po 25 latach wspomina się ten film w związku z najnowszym filmem tego aktora pt.: „Groźba" („La Menace") reż. Alaina Courneau, gdzie znów gra kierowcę ciężarówki. W tym ponoć wspaniałym „dreszczowcu" bohater chcąc uratować ukochaną sam wpada w pułapkę. Jest to już 40 film znakomitego francuskiego aktora.

Na polskich ekranach mieliśmy okazję oglądać wiele filmów z Yves Montandem np. „Bohaterowie są zmęczeni" (1955), „Cezar i Rozalia" (1972), „Vincent, François, Paul i inni" (1974), „Rewolwer Python 357" (1976)... W wywiadzie udzielonym w roku 1977 naszemu „Filmowi" na pytanie, który ze swoich filmów lubi najbardziej, aktor wymienił: „Cena strachu", „Wojna się skończyła", „Stan oblężenia", „Z". Cztery czy pięć na czterdzieści – świadczy to o dużym krytycyzmie w stosunku do swoich umiejętności, a także i o tym, że po tylu doświadczeniach i sukcesach 57-letni artysta jeszcze ciągle doskonali swą sztukę.

BARBARA TYLICKA
Fot. **archiwum**

* włos. „Yves, wracaj na górę!"

DOM MODY świata młodych

A może... w kombinezonie?

O kombinezony pytała mnie ostatnio Agnieszka Z. z Lubania – czy modne?! Odpowiadam, że tak, owszem, sporo ich ostatnio oglądałam w różnych żurnalach. Muszę jednak przyznać, że osobiście mam w stosunku do tego właśnie ciucha uczucia mieszane nieco. Bo z jednej strony – jest to rzecz klawa i z wdziękiem, a z drugiej – kłopotliwa troszkę, bo jak człowiek chce zrobić siusiu, to musi cały niemal się rozbierać. No, ale znam parę dziewczyn, które kombinezony takie posiadają i biegają w nich całe dnie, więc chyba do niewygód można się przyzwyczaić. Albo... pocierpieć dla ładnego wyglądu.

Bo trzeba przyznać, że w kombinezonie dziewczyna wygląda ładnie. Oczywiście nie jest to ciuch dla każdego, w kombinezon taki może się ubrać wyłącznie dziewczyna szczupła i będąca posiadaczką długich nóg. Jeśli zatem ktoś ma jakieś w stosunku do swojej figury wątpliwości, radzę z góry zrezygnować. Lepiej się obejść (nawet jak ma się ochotę) niż wyglądać śmiesznie. To chyba jasne.

Kolejny problem, to kombinezonu uszycie. Nie radzę eksperymentować samej, chyba że jesteście w sztuce szycia bardzo biegłe. Nawet krawcowa, która szyje bardzo udane sukienki, spódniczki czy bluzki jest w stanie taki kombinezon dokumentnie schrzanić. Podstawową bowiem sprawą w tworzeniu (krawieckim) takiego kombinezonu jest umiejętność szycia spodni. Jeśli ktoś potrafi dobrze szyć spodnie – uszyje i kombinezon (wykrój spodni przedłuża się do góry odpowiednio o połówki pleców i przody góry), jeśli ze spodniami sobie nie radzi – wątpliwe, aby całość była udana.

Fason zależy oczywiście od potrzeb właścicielki. Np. na jednym z prezentowanych dzisiaj zdjęć spodnie są długie, na drugim – za kolana zaledwie i bardzo szerokie w nogawkach. Góra powinna być nieco luźniejsza od zwykłej bluzki (chyba, że jest to kombinezonik letni), aby można było pod nią włożyć golf czy inny sweter lub jakąś bluzkę.

Pozdrawiam Was serdecznie!

RIUSZKA

TURNIEJ WARCABOWY O PUCHAR „ŚWIATA MŁODYCH" I GŁÓWNEJ KWATERY ZHP

prowadzi Romuald Frey

ROZWIĄZANIE ZADAŃ

Zadanie 33. 1. 48–42! 38:47 2. 39–33! 28:39 3. 9–3! 47:24 4. 3:25:43:16:2:35 z wygraną

Zadanie 34. 1. 49–43! 36:47 2. 43–38! 32:43 3. 48:39 47:29 4. 39–34 29:40 5. 45:34 24–29 6. 34:23

Zadanie 35. 1. 49–44! 40:49 2. 13–8! 49:41 3. 8:10! 41:5 4. 48–42! 5–14 5. 42–37 14:41 6. 46:37

Zadanie 36. 1. 37–32! 27–38 2. 48:43! 38:49 3. 40–34! 49:46 4. 34:5 46–41 5. 5:46

Zadanie 37. 1. 14–9! 40:49 2. 9–3! 49:2 3. 3:24 2:30 4. 35:24

Zadanie 38. 1. 43–38! 32:43 2. 30–24! 19:30 3. 34:25 43:34 4. 25–20! 15:24 5. 33–28 23:32 6. 42–38! 32:43 7. 48:26

Zadanie 39. 1. 16–11! 31:42 2. 12–7! 1:12 3. 40–34! 29:40 4. 35:30! 25:43 5. 49:7 40:49 6. 26–21! 49:16 7. 7–2 16:7 8. 2:47

Zadanie 40. 1. 40–34! 39:30 2. 42–38! 43:32 3. 37:28 26:46 4. 13–8! 22:33 5. 8–3!! 46:10 6. 3:39:11:2:24

Zadanie 41. 1. 26–21! 23:43 2. 49:38 16:27 3. 38–32! 27:38 4. 48–43! 38:40 5. 45:23

Zadanie 42. 1. 48–43! 38:49 2. 30–25! 49:21 3. 25:32 21:49 4. 31–27! 49:21 5. 26:17 16–21 6. 17:26

REDAKCYJNA POCZTA

Uwaga, szkoły im. M. Nowotki

Samorząd Uczniowski Szkoły Podstawowej nr 5 im. Marcelego Nowotki w Koninie pragnie nawiązać kontakt z innymi szkołami w naszym kraju, noszącymi to samo imię. Bardzo chcemy też znaleźć towarzyszy broni Marcelego Nowotki. Pragniemy bliżej poznać postać patrona naszej szkoły. Chcemy zapoznać się z jego życiem i działalnością, dlatego prosimy o pomoc w naszych poszukiwaniach.

Rada Samorządu Uczniowskiego
Szkoła Podstawowa nr 5
ul. XX-lecia PL 31
62–510 Konin

Co się chłopcom podoba?

Dorota ma rację, że niektóre dziewczyny chwalą się swoim powodzeniem, zwłaszcza te, które są ładne i naprawdę podobają się chłopakom. Ja nie należę do tej grupy i wiem, co czują te z piegowatym nosem, lekko wysuniętą brodą lub z nieco pulchną figurą. Mówi się, że chłopak nie patrzy na urodę (zgrabne nogi, piękne oczy itp.) lecz, niestety, nie jest to prawdą. Niektóre dziewczyny są dobre, wesołe, koleżeńskie, sympatyczne, rozsądne, ale brak im właśnie – urody. Te dziewczyny cierpią najbardziej, choć wcale na to nie zasłużyły.

Lena

Klub „Kaliny Czerwonej"

Czy istnieje w Polsce księgarnia, która wysyła za zaliczeniem pocztowym książki radzieckie? Czy można je kupić za złotówki?

A. Romanowicz

OD REDAKCJI: Wysyłką książek za zaliczeniem pocztowym zajmuje się Powszechna Księgarnia Wysyłkowa ul. Nowolipie 4, 00–146 Warszawa. W księgarni można zamawiać także literaturę radziecką. Podobnie jak za wszystkie inne książki wysyłane przez tę instytucję, płaci się za nie w złotówkach. Warto wiedzieć, że co roku, w styczniu, księgarnia oczekuje na zgłoszenia kandydatów do Klubu „Kaliny Czerwonej", którego członkowie otrzymują zamówione przez siebie pozycje wydawane w Związku Radzieckim.

(bs)

Gdy piszemy te słowa lot międzynarodowej załogi jeszcze trwa. Wiadomo natomiast, że powrót jej na Ziemię będzie nieco inny. Otóż Bykowski – Jaehn powrócą „Sojuzem-29", zaś swój statek „Sojuz-31" zostawią do dyspozycji „starej" załogi Kowalonok-Iwanczenkow. Ci ostatni przesiądą się do „Sojuza-31", odczepią go od „Saluta-6" i ponownie przycumują ze strony dziobowej stacji. W ten sposób zwolnione zostanie miejsce dla cumowania kolejnego statku transportowego „Progress". Tylko bowiem na rufie „Salut" posiada urządzenia do przepompowywania paliwa. Będzie to pierwsza tego typu operacja przeprowadzona w kosmosie.

Prezes TOMIKA ST. BOROWIECKI

TRZECIA MIĘDZYNARODOWA ZAŁOGA W KOSMOSIE

Po Remku, Hermaszewskim przyszła kolej na obywatela NRD. 26 sierpnia wystartowała z kosmodromu w Bajkonurze trzecia międzynarodowa załoga. Na pokładzie statku „Sojuz-31" znalazł się kosmonauta-badacz NRD, Sigmund Jaehn, dowódcą statku jest dwukrotny Bohater Związku Radzieckiego, płk Walery Bykowski. W. Bykowski swój pierwszy lot odbył w 1963 r. na statku „Wostok-5", natomiast na drugą wyprawę kosmiczną czekał 13 lat. Właśnie w 1976 r. poleciał w kosmos jako dowódca statku „Sojuz-22". Jest więc kosmonautą bardzo doświadczonym.

Trzecia międzynarodowa załoga przebywać ma w kosmosie 7 dni. Po połączeniu się „Sojuza-31" z zespołem orbitalnym „Salut-6" – „Sojuz-29" przeprowadzi szereg eksperymentów. Łącznie jest ich 24. Wszystkie mieszczą się w programie Interkosmos i częściowo nawiązują do wcześniej przeprowadzonych badań przez załogi – radziecko-czechosłowacką i radziecko-polską. Przypominamy, że w zespole orbitalnym „Salut-6" – „Sojuz-29" przebywa od 11 tygodni załoga Kowalonok-Iwanczenkow. Oni również będą uczestniczyć w przeprowadzeniu badań naukowych.

Jednym z pierwszych eskperymentów nazwanych kryptonimem „Berolina" było zbadanie wpływu stanu nieważkości na przebieg procesów technologicznych i właściwości uzyskiwanych materiałów. Posłużyły do tego celu zainstalowane na pokładzie „Saluta-6" urządzenia „Spław-01", czyli specjalny piec do topienia materiałów. Oddzielną grupę zadań stanowią eksperymenty medyczno-biologiczne. Np. eksperyment „Mowa", mający na celu dalsze doskonalenie kontroli medycznej stanu zdrowia kosmonautów podczas lotu. Wiadomo, iż język jest nie tylko ośrodkiem porozumiewania się między ludźmi; na podstawie barwy dźwięku i głośności, tempa wypowiadania się, doboru słów i zestawu zdań, można wyrobić sobie opinię o emocjonalnym stanie człowieka. Eksperyment „Mowa" miał więc na celu, na podstawie częstotliwych, amplitudowo-czasowych charakterystyk słów kosmonauty NRD ocenić – przy wypowiadaniu po niemiecku liczby 226 – emocjonalny stan kosmonauty w warunkach lotu. Jeszcze inny eksperyment, nazwany kryptonimem „Audio", ma na celu ustalenie wpływu przebywania w kosmosie na słuch. Ponadto bada się zmiany smakowe, a także zmęczenie kosmonautów wskutek pracy w niecodziennych warunkach.

Powrót Sigmunda Jaehna z kosmosu zbiega się ze świętem narodowym NRD. Będzie więc on najważniejszym i najpiękniejszym akcentem, jakim nasi zachodni sąsiedzi uświetnią 20 rocznicę powstania Niemieckiej Republiki Demokratycznej.

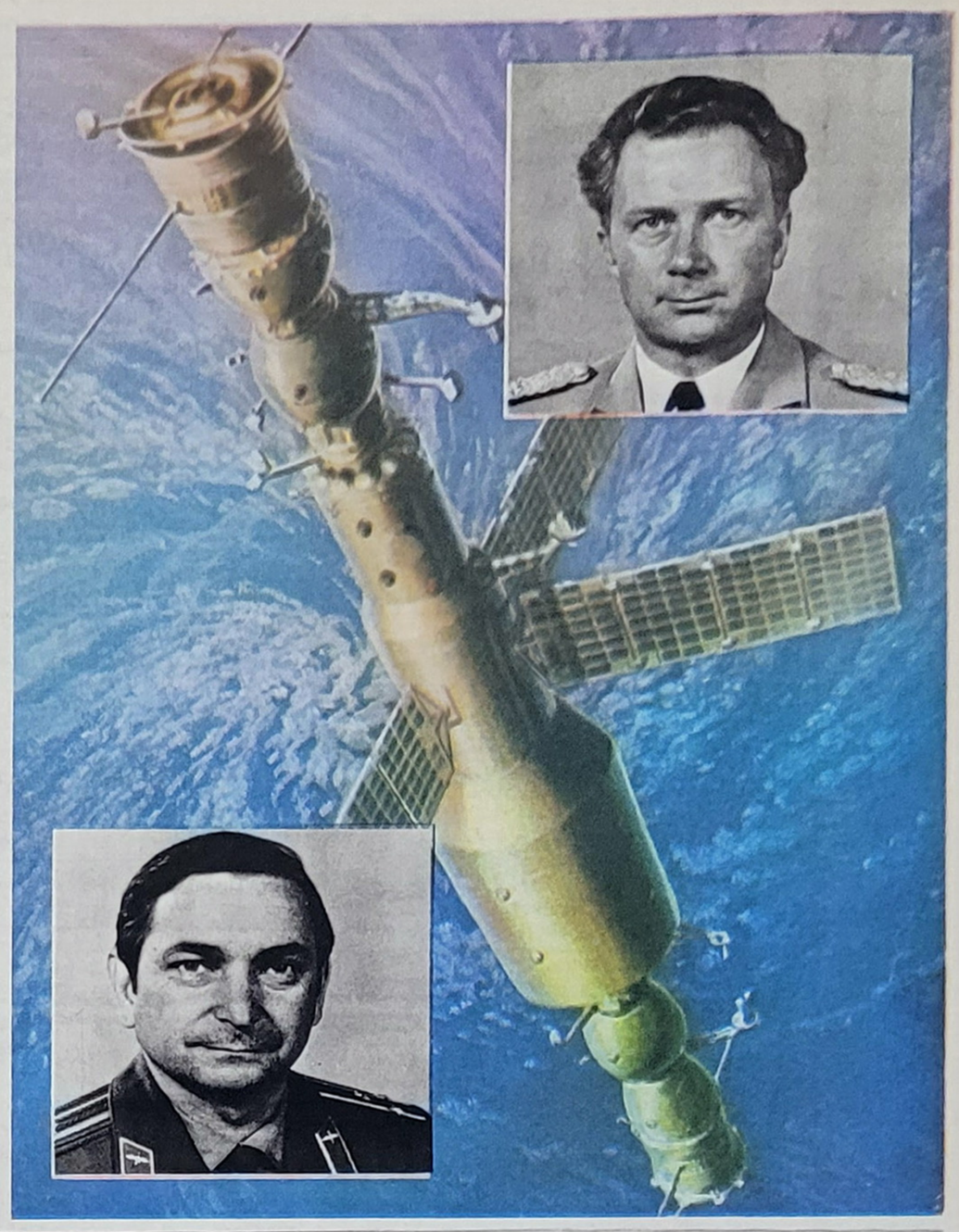

Zespół orbitalny: po środku „Salut-6" z przycumowanymi z przodu i z tyłu statkami „Sojuz". Na dole, dowódca międzynarodowej załogi, Walery Bykowski oraz u góry kosmonauta badacz NRD, Sigmund Jaehn

Czy istnieje drugi księżyc Ziemi?

Jest możliwe, że nie tylko Mars i Jowisz, ale także Ziemia schwytała małą planetoidę i przekształciła ją w swego satelitę. O takiej możliwości wspominał już Juliusz Verne (1828–1905), autor dobrze znanych wszystkim powieści fantastyczno-naukowych. Zagadnieniem tym zainteresowali się również astronomowie, którzy od stu lat poszukują miniaturowego księżyca Ziemi.

Sprawa ta nabrała szczególnego rozgłosu, gdy astronom francuski E. Petit (1819–1900) podał do publicznej wiadomości, że 21 marca 1846 roku dostrzegł drugi księżyc Ziemi jako obiekt szybko poruszający się między gwiazdozbiorem Oriona a gwiazdozbiorem Psa Wielkiego. Uczony ten był doskonałym obserwatorem, lecz doniesienie o tym odkryciu przyjęte zostało z wielką nieufnością. Nikt zresztą później nie obserwował drugiego księżyca Ziemi, chociaż problemem tym interesowało się wielu znanych astronomów.

W roku 1923 odszukaniem drugiego księżyca Ziemi zajmował się wybitny astronom amerykański William H. Pickering, który w roku 1898 odkrył dziewiąty księżyc Saturna. Zakładał on, że ten drugi księżyc to obiekt o objętości zaledwie kilku kilometrów sześciennych, obiegający naszą planetę raz na 2–3 godziny w odległości około kilku tysięcy kilometrów. Byłby to więc obiekt bardzo trudny do wykrycia ze względu na małą jasność. Nic zatem dziwnego, że obserwacje Pickeringa nie doprowadziły do odkrycia drugiego księżyca Ziemi. Niepowodzeniem zakończyły się również poszukiwania znanego astronoma amerykańskiego Clyde W. Tombaugha, który w latach 1963–1965 dokonywał podobnych obserwacji. W tym celu fotografował niebo każdej pogodnej nocy w okresie nowiu Księżyca, gdyż wtedy można na kliszy uchwycić najsłabsze obiekty. Fiasko dotychczasowych poszukiwań nie dowodzi jednak wcale, że hipotezy na temat drugiego księżyca Ziemi były zupełnie bezpodstawne. Jego istnienie w świetle rozważań teoretycznych jest niemal pewne, a właściwie to został już odkryty, chociaż na razie tylko za pomocą wyliczeń matematycznych. Walnie przyczyniła się do tego astronautyka, która coraz częściej przychodzi z pomocą astronomom i to w beznadziejnych – jakby się zdawało – sytuacjach.

W tym przypadku bezcennych wprost informacji dostarczyła analiza orbit sztucznych satelitów Ziemi. Wiadomo bowiem, że ich ruch w dużym stopniu zależny jest od struktury ziemskiego pola grawitacyjnego, uzależnionego od kształtu naszej planety i od rozłożenia jej masy. A tymczasem w ruchu niektórych sztucznych satelitów stwierdzono pewne zakłócenia, które nie są wywołane asymetrią ziemskiego pola grawitacyjnego ani też wpływem innych znanych ciał niebieskich. Na tej podstawie astronom amerykański J. Bagby doszedł do wniosku, że dookoła Ziemi krąży kilka ciał o średnicy około 30 metrów i one prawdopodobnie są odpowiedzialne za powyższe zakłócenia. Stwierdził ponadto, obliczając ich położenie w przeszłości, że 18 grudnia 1955 roku znajdowały się one praktycznie w jednym punkcie przestrzeni. Wtedy właśnie mogło dojść do rozpadu drugiego, bardzo zresztą małego księżyca Ziemi. Była nim prawdopodobnie mała planetoida, schwytana przez ziemskie pole grawitacyjne w przeszłości.

Powyższa hipoteza dotychczas nie została potwierdzona obserwacyjnie. Należy jednak mieć nadzieję, że już w najbliższych latach przekonamy się, czy Ziemię obiega tylko jeden Księżyc, czy też jest ich więcej. Po orbicie okołoziemskiej krążą już bowiem pierwsze stacje kosmiczne, które umożliwią rozwiązanie niejednej zagadki.

Członek S.A.G.T. „POL" **Sylwester Walczak**
z ul. Podrzeczna 43/6, 99-400 Łowicz

16 WRZEŚNIA ZAĆMIENIE KSIĘŻYCA

Chciałbym poinformować czytelników TOMIKA o efektownym zjawisku zaćmienia Księżyca, które będzie można obserwować we wrześniu. W dniu 16 września będziemy mogli obserwować zaćmienie Księżyca na terenach Polski. Oto momenty zjawiska: początek zaćmienia częściowego – godz. 18.21, pełnego – 19.25, środek zaćmienia – 20.05, koniec zaćmienia pełnego – godz. 20.45, częściowego – 21.49.

Także w dniu 2 października nastąpi częściowe zaćmienie Słońca, ale niewidoczne w Polsce. Obserwować je będzie można w Skandynawii, we wschodniej Europie i północno-wschodniej Azji.

Czytelnicy TOMIKA powinni więc zwrócić uwagę na pogodny wieczór w dniu 16 września i prześledzić zgodnie z podanymi momentami zjawisko zaćmienia naszego satelity. Zaćmiona część lub całość tarczy Księżyca będzie miała barwę ciemnomiedzianą, pochodzącą od oświetlenia jej promieniami światła słonecznego, przechodzącymi i załamywanymi w atmosferze Ziemi.

Mariusz Gomułkiewicz (Mateor-Club)
ul. Zielonogórska 20/5, 53-617 Wrocław

ironiczne uwagi na temat podkowy. Ale schemat przestudiował nader uważnie. Umocowałem podkowę na statywie, przylutowałem do niej przewody, podłączyłem amperomierz i zapaliłem świeczkę. Ze świecą w ręku przypominałem pana młodego. Na miejscu panny młodej stał Lisocki.

– Należy odśpiewać marsza weselnego – zaproponował Sasza.

Przysunąłem płomień świecy do podkowy i zacząłem ją nagrzewać. Strzałka aparatu drgnęła i przesunęła się o jedną podziałkę.

– Prąd termoelektryczny – skonstatował Lisocki.

Sam wiedziałem. Żadnym Brummem tu nawet nie pachniało. Zużyłem trzy świece nagrzewając podkowę w różnych miejscach. Podkowa straciła połysk, zakopciła się i wyglądała żałośnie. Jakaś tam mocno używana podkowa.

– Figa z makiem – stwierdził Sasza Rybakow i powrócił do swojej aparatury.

– Czego należało oczekiwać – rozległ się głos szefa, który wszedł i nie zauważony przez nikogo obserwował przebieg doświadczenia.

– Dajcie lutownicę – zażądał Lisocki.

– Nie przeszkadzaj w eksperymencie – powiedział szef.

– Dajcie lutownicę! – krzyknął Lisocki.

Dostał lutownicę i w ciągu dziesięciu sekund rozżarzył podkowę do białości. Przewody odpadły, a rezultat nie uległ zmianie.

– Podkowa jest niewłaściwa – oświadczył Lisocki. – Erzatz, a nie podkowa. Potrzebna jest prawdziwa – prosto od konia. Z kopyta, że tak powiem.

– Dosyć tego! – powiedział szef. – Pietia, napisz uprzejmy list. Załącz schemat doświadczenia. Obiecaj mu amperomierz. Nie zapomnij zakończyć „pozostajemy z szacunkiem"... To zbrodnia! Zmarnować tydzień czasu na jakiegoś Brumma. A jeżeli ten Fomicz jutro oświadczy, że ziemia ma kształt obwarzanka? To też będziemy sprawdzać doświadczalnie? Tak?– Poczekajcie – zagadkowo powiedział Sasza Rybakow – to jeszcze małe piwo.

Lisocki wyżebrał podkowę i zabrał ją do swojego laboratorium. Powiedział, że na szczęście.

Znowu napisałem list do Kogutków Górnych. Do Wasilija Fomicza zwracałem się per „kolego", zużyłem ogromną ilość terminów naukowych, całość uzasadniłem teoretycznie przy pomocy wielu skomplikowanych wzorów. Wypisałem nawet równanie Schredingera, chociaż nie miało ono nic do rzeczy. Po to, żeby Fomicz dłużej siedział nad tym listem. Przeczuwałem już, że walka będzie długa. Szef przeczuwał to również.

– Pietia, przestudiuj dokładnie tego Brumma – powiedział. Żeby w razie czego nikt nas nie zahaczył.

Następnego dnia poszedłem do działu starych rękopisów biblioteki publicznej i wypożyczyłem oryginał. Brumm pisał po łacinie. Z tym jeszcze sobie jakoś poradziłem. Ale podstawy jego teorii były całkowicie mistyczne. Na przykład twierdził i to zupełnie poważnie, że prąd elektryczny jest jedną z form istnienia szatana. I że święty ogień zmusza szatana do biegania wzdłuż przewodu i krzesania iskier. W jaki sposób szatan może ładować akumulatory Brumm nie pisał.

I tak dalej.

Zdołałem przestudiować dopiero jeden traktat z czternastu, a Wasilij Fomicz zdążył wykonać następny ruch.

WYRUSZAM W PODRÓŻ

Tym razem Smirny zmobilizował opinię publiczną. Opinię publiczną można mobilizować w różny sposób. Wasilij Fomicz wybrał drogę zbiorowej petycji. Nie mam pojęcia skąd nazbierał w Kogutkach Górnych tylu ludzi. Może pojechał do rejonu. Tak czy inaczej, pięćdziesiąt osób stwierdzało pod przysięgą, że towarzysz Smirny motocykl z przyczepą eksploatował przez sześć miesięcy i to dość intensywnie. A akumulator ładował od podkowy. Wszyscy widzieli. Skąd brał podkowę też było napisane. Brał ją mianowicie z kuźni.

– Sam widzisz, nie z cerkwi, tylko z kuźni – powiedział Rybakow.

– Przecież ja z cerkwi przyniosłem świecę, a nie podkowę – powiedziałem.

– Wszystko jedno – melancholijnie stwierdził Sasza.

Moim zdaniem Rybakow postawił sobie za cel doprowadzenie mnie do stanu szefa. Ale to mu się nie uda!

Cdn.

Atomek

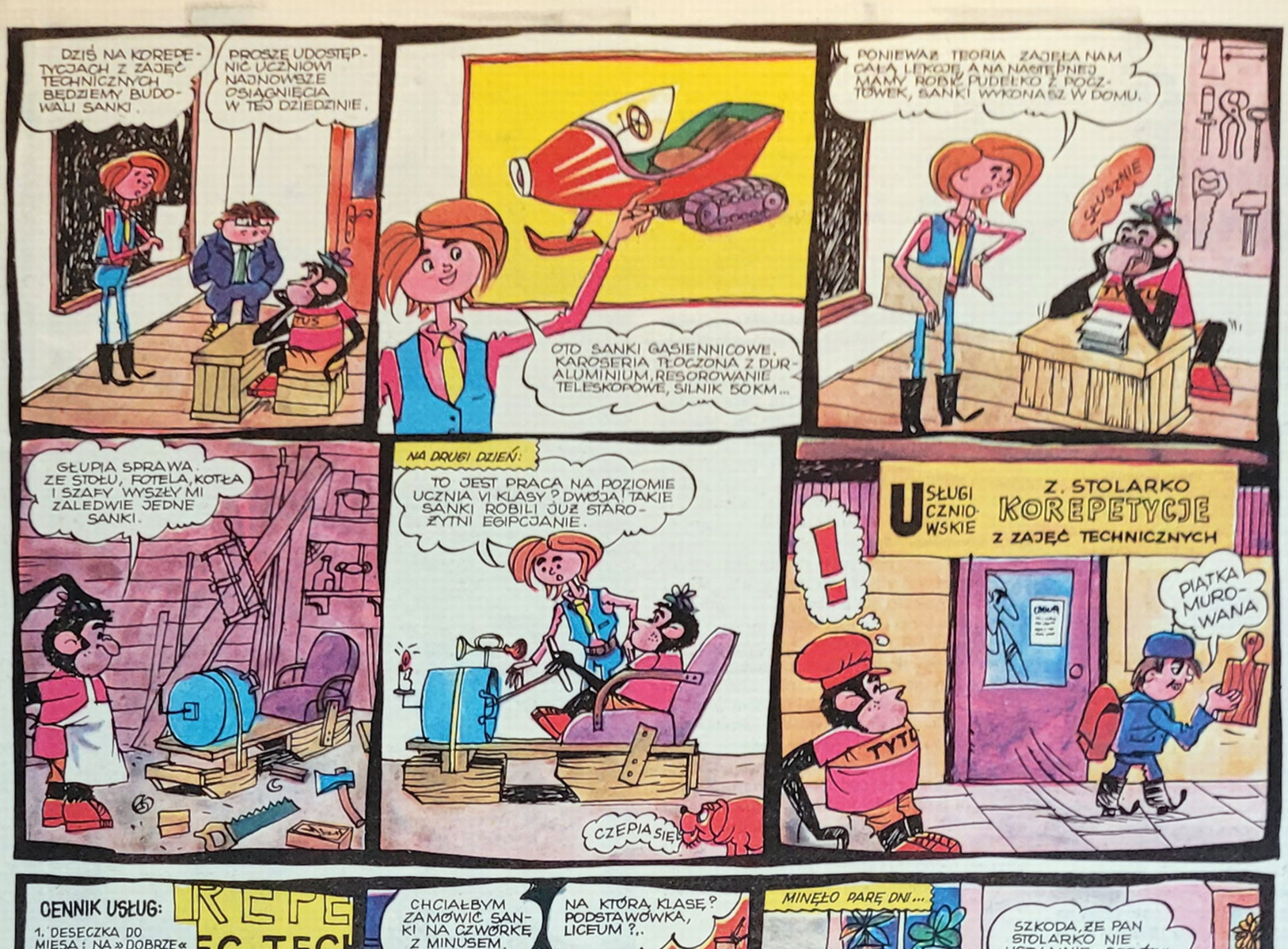

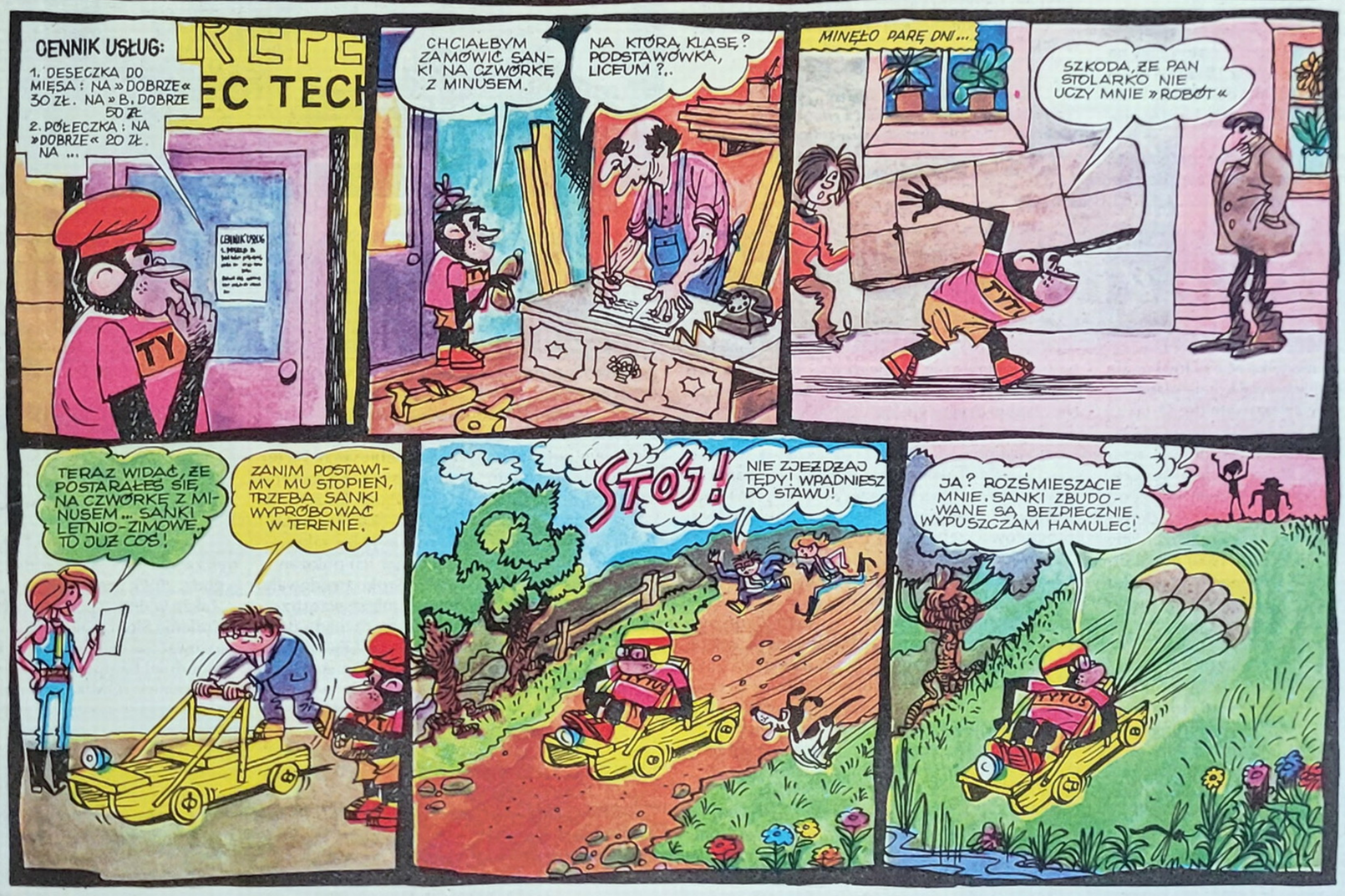

TEKST I RYSUNKI PAPCIO CHMIEL

TYTUS, Romek i Atomek

ŚWIAT MŁODYCH

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa; ADRES ODDZIAŁU: ul. Rynek 13, 40-0003 Katowice (tel. 537-733, telex 0315569).
UKAZUJE SIĘ WE WTORKI, CZWARTKI I SOBOTY.
REDAGUJE KOLEGIUM: Stanisław Borowiecki (zastępca red. nacz.), Jerzy Dąbrowski, Anna Grzybowiecka, Maria Jaworska (sekretarz redakcji), Ewa Kłosiewicz, Jerzy Kowalkowski, JERZY MAJKA (redaktor naczelny), Wiesława Mroczek-Kamińska, Kazimierz Pasek, Krzysztof Potrzebnicki, Ryszard Ratajczyk, Mieczysław Teodorczyk, Barbara Tylicka, Marzena Wierzcholska (zastępca red. nacz.)

TELEFONY:

Red. naczelny	21-15-61
Sekr. redakcji	28-25-48
Dział Łączności z Czytelnikami	21-81-13
TELEX	81-36-58

Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca.

WYDAWCA – RSW „Prasa-Książka-Ruch" Młodzieżowa Agencja Wydawnicza 00-564 Warszawa, ul. Koszykowa 6A Telefony: Dyrektor 28-09-73, Dział Wydawniczy 29-35-52. Prenumerata krajowa: miesięczna 19,50 zł, kwartalna 58,50 zł, półroczna 117 zł, roczna 234 zł. Od instytucji i szkół z miast wojewódzkich i gmin prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe oddziały i delegatury RSW „Prasa-Książka-Ruch" w terminie do 25 listopada na rok następny. Od instytucji, szkół, w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów delegatur RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz od wszystkich prenumeratorów indywidualnych prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe urzędy pocztowo-telekomunikacyjne oraz listonosze w terminie do 10 dnia miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty.

Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę, która jest o 50% droższa od prenumeraty krajowej, przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto PKO nr 1531-71 w terminach dla prenumeraty krajowej. Nr indeksu 35046.

Opracowanie graficzne
Tadeusz Baranowski

Redakcja techniczna
Anna Dąbrowska

DRUK: Zakłady Graficzne Dom Słowa Polskiego
Zam. 5791/G S-3

NIE ZAPOMNIJ OTO NASZ POCZTOWY 00-561

W NASTĘPNYM NUMERZE ZNAJDZIECIE:

- Ligę Reporterów z Bielska-Białej oraz szczegółowy program święta „Świata Młodych"
- Fotoreportaż z aukcji psów na Marienstacie w Warszawie
- Migawki egzotyczne Janusza Wolniewicza z Saipan
- Rzepa i inne ciekawe artykuły

Szef wyjął z aktówki papierową teczkę, a z teczki papiery. Od razu zauważyłem na samym wierzchu list ze znajomym fioletowym charakterem pisma. I koperta było identyczna: „Powinszowania z okazji ósmego marca!". A na świecie, jeśli już o to chodzi, mamy obecnie wrzesień. Tym razem do listu było przypięte pisemko z gazety rejonowej. Nie licząc dyspozycji rektora itp. Tylko że dyspozycje były w tonie kategorycznym.

Szef w milczeniu położył to wszystko przed moim nosem i zapalił papierosa. Czułem, jak z wolna się nagrzewa. Niczym kocioł parowy. Następnie szef podskoczył na krześle rąbnął pięścią w stół, wskutek czego fioletowe litery skoczyły gdzieś w bok.

– Przerażające! – krzyknął szef. – Ciemnogród! Nie mam życzenia zajmować się alchemią!

– Nie szkodzi szefie – powiedziałem – wszystko w życiu się przydaje. Niech pan się tylko nie denerwuje, wszystko załatwimy.

– Bardzo cię proszę, Pietia – poprosił szef. – Odpisz mu jakoś łagodnie. Coś mu obiecaj.

– Na przykład pośmiertną sławę – zaproponowałem.

– W żadnym wypadku! – przeraził się szef. – Najlepiej jakiś przyrząd. Powiedzmy amperomierz... O Boże! – szef nerwowo zaczął biegać po laboratorium. Zawsze wszystko bierze zbytnio do serca.

W piśmie z gazety pouczano nas, że niedopuszczalnym lekceważeniem potraktowaliśmy list człowieka pracy. Okazało się, że sami powinniśmy empirycznie sprawdzić efekt Brumma, zamiast zasłaniać się jakimś tam Maxwellem.

– Brummm – brumm-brumm... – zawołał szef na melodię marsza.

– On tu cytuje Engelsa – powiedziałem zaznajomiwszy się z listem Wasilija Fomicza do redakcji gazety rejonowej.

– Brumm-brumm-brumm! – jeszcze głośniej zanucił szef.

Odłożyłem na później swoje doświadczenia i zająłem się eksperymentem Wasilija Fomicza. Przede wszystkim należało zdobyć świeczkę. Na katedrze świeczek nie było, ponieważ wyszły z użycia. Gena poradził mi sklep, a Sasza cerkiew. Z instytutu jest bliżej do cerkwi niż do sklepu, więc wybrałem cerkiew.

Cierkiew pracuje w bardzo dziwnych godzinach. Czasami jest zamknięta przez cały dzień, a czasem działa nawet w nocy. Miałem szczęście, cerkiew właśnie funkcjonowała. Przed wejściem jakaś staruszka handlowała świeczkami. Świeczki były cienkie jak makaron i piekielnie drogie. Kupiłem pięć sztuk i staruszka przeżegnała mnie znakiem krzyża.

Z podkową sprawa wyglądała znacznie gorzej. Po prostu nie wyobrażałem sobie, gdzie w mieście można dostać podkowę. Zadzwoniłem do informacji miejskiej, ale mi naubliżali za rzekome chuligaństwo. Wobec tego zamówiłem podkowę w warsztacie mechanicznym. Majster E. Fiedia, specjalista od wydmuchiwania szklanych naczyć, narysował mi z pamięci szkic podkowy. Fiedia pochodzi ze wsi. Zrobiłem techniczny rysunek, według wszelkich zasad, w trzech rzutach i w przekroju też. Jak trzeba. Wypisałem zlecenie i zacząłem czekać.

Trzy dni biegałem do warsztatu dopilnować realizacji zamówienia. Wreszcie podkowa została wykonana.

– Ten twój koń ma tylko jedną nogę, czy co? – zapytał ślusarz.

– Reszta to protezy – wyjaśniłem.

– Ogier, czy kobyła?

– Raczej ogier.

– Szkoda zwierzęcia – powiedział ślusarz.

Przyniosłem podkowę na katedrę i przystąpiłem do eksperymentu. Pokój był pełen ludzi. Szef, żeby się nie denerwować poszedł do biblioteki. Czułem, że nie jest zupełnie pewien jaki będzie wynik. Lisocki chodził i rzucał

Dokończenie na str. 7